

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok VIII. Kraków, 30 grudnia 1911. Nr. 52.

Zbrojny napad na pociąg.



Do Czytelników!

Oddając dzisiejszy, ostatni w roku 1911 numer „Nowości Illustrowanych“ Czytelnikom, zamykamy roczny okres naszego wydawnictwa z uczuciem spełnionego obowiązku i otuchy na przyszłość. Wprawdzie życie płynie jednym nieprzerwanym strumieniem z dnia na dzień, z roku na rok, z jednego dziesiątka lat na drugi, ale chwila, w której żegnamy stary, a witamy Nowy rok — choć nie stanowi żadnego przełomu w łańcuchu codziennej, żmudnej pracy — jest właśnie momentem, w której każda jednostka przebiega pamięcią miniony, należący już do przeszłości okres czasu i snuje horoskopy na przyszłość...

To upoważnia i nas do rzucenia okiem poza siebie — na ten miniony okres naszej pracy wydawniczej. Wraz z kończącym się rokiem 1911 — „Nowości Illustrowane“ kończą osiem lat swego istnienia, w ciągu których dążyliśmy do urzeczywistnienia tych zadań i celów, którym postanowiliśmy wytrwale i konsekwentnie służyć... A nie były one tak łatwe, jakby się pozornie wydawało. Illustrować chwilę bieżącą dziejów świata, nie tylko w artykułach, które są jedynie suchą abstrakcyą, ale także w obrazach, przedstawiać walki i zabiegi mocarstw i narodów, dać całokształt życia we wszystkich jego przejawach, a nie tylko (jak to czynią dzienniki) w zakresie polityki bieżącej, przedstawić, co się dzieje tak na polu pracy literackiej i artystycznej, jak i społecznej i gospodarczej, jakie zagadnienia pochłaniają nowoczesny umysł i jakie prądy nurtują w narodach, a przedewszystkiem w społeczeństwie polskiem — oto olbrzymie zadanie, dla spełnienia którego powstały przed 8 laty „Nowości Illustrowane“.

I patrząc dziś na ten ośmioletni okres naszej pracy, podjętej dla wypełnienia tego istotnie olbrzymiego zadania — możemy bądź co bądź skonstatować, że wysiłki nasze nie były daremne. Olbrzymia cyfra naszych Czytelników na wszystkich ziemiach polskich, uznanie powszechne w społeczeństwie — oto najlepszy dowód, że „Nowości Illustrowane“ spełniały swe zadanie sumiennie. Dalekie od jakiejkolwiek zależności partyjnej, informujące zawsze bezstronnie i wiernie, a przytem z możliwie największą szybkością i dokładnością, zjednały sobie „Nowości Illustrowane“ najcenniejszy skarb — zaufanie Czytelników. Z tego kapitału, jak dotychczas, tak i na przyszłość, korzystać będziemy bardzo ostrożnie i bardzo sumiennie. „Nowości Illustrowane“ pozostaną nadal wierną fotografią oblicza świata i polskiego narodu — a spełniając to trudne zadanie, były i są ważną placówką oświatową, oddaną całkowicie na usługi społeczeństwu i licznej rzeszy Czytelników.

„Nowości Illustrowane“ spełniły także — możemy to z dumą powiedzieć — ważny czyn narodowy. Jako pierwszy i jedyny w Polsce na europejską miarę zakrojony tygodnik tego rodzaju, redagowany przytem wszechstronnie, zaopatrzony w pierwszorzędne urządzenia techniczne (własna cynkotypia, pospieszne maszyny), posiadający dużo korespondentów-fotografów, mogły skutecznie współzawodniczyć z tygodnikami niemieckimi i wyprzeć obce czasopisma illustrowane z domów polskich. „Nowości Illustrowane“ przeprowadziły więc w swoim zakresie bojkot narodowy obcego towaru.

Wielką potęgą jest prasa, nazywają ją nawet siódmem wielkiem mocarstwem, ale o ileż większe usługi oddaje prasa illustrowana. Szerzy znajomość wypadków świata i znajomość rzeczy polskich nie tylko w kołach inteligencyi, ale w najszerszych warstwach, dzięki swej popularności, bezpartyjności a zwłaszcza obrazowości. „Nowości Illustrowane“ zdobyły też prawo obywatelstwa zarówno w pierwszorzędnych domach stolicy, jak i w oficynach mieszczańskich, a „pod strzechy“ zabłądziły już dawno. Wszędzie budzą zainteresowanie Czytelników, dla wszelkich przejawów życia współczesnego, dla wielkich wydarzeń i ruchów, które światem rządzą, dla idei, wynalazków, zdobyczy naukowych, które dzięki prasie stają się od razu własnością powszechną.

Sądzimy też, że rozpoczynając nowy rok wydawniczy, nie mamy potrzeby rozwodzić się obszerniej ani o swych zadaniach, ani o swych zamiarach na przyszłość... Czytelnicy nas rozumieją, a przytem wiedzą, że podstawą należytego wypełnienia tych trudnych zadań kulturalnych przez „Nowości Illustrowane“, które służą ogółowi — jest właśnie poparcie tego ogółu — wzrastające wciąż szeregi Czytelników i przyjaciół... To też możemy tylko zapewnić, że na wysokim posterunku, na jakim nas postawiło zaufanie Czytelników, wytrwamy i w roku 1912 — jako Polacy, jako krzewiciele wiadomości pożytecznych i interesujących, jako illustratorowie współczesnego życia i jego przejawów.

Z temi myślami i z tem zapewnieniem — składamy Szanownym Czytelnikom życzenia noworoczne.

Od Wydawnictwa.

Najnowsza powieść

Walerego Przyborowskiego: p. t. „Krew“,

której druk rozpoczęliśmy w poprzednim numerze, powinna zainteresować naszych Czytelników. Autor daje w niej bowiem wstrząsający obraz tej przełomowej tragedyi, jaką przeżywało w ostatnich latach społeczeństwo w Król. Polskiem. Powieść odtwarza z wielką plastyką te ukryte podziemia partyjnego życia, którego krwawe przejawy tak wstrząsnęły organizmem narodu polskiego. Sam przedmiot powieści jest już jakby wyjęty z jakiegoś fantastycznego utworu. To też osnuta na tych wydarzeniach powieść, skreślona świetnem piórem autora, czyta się jednym tchem...

Od Administracyi.

Z numerem dzisiejszym kończymy **IV-ty** kwartał ósmego roku wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem do **4 stycznia** prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma **Kraków fach pocztowy;** prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową.

Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 10 Rbs. 40 kop.
Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 5 Rbs. 20 kop.
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen.
Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra w Warszawie

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs 60 kop.

Zbrojny napad na pociąg.

(Do illustracyi tytułowej).

Królestwo Polskie wciąż trapi potworna plaga bandytyzmu, który zdołał się tam nawet wyspecyalizować. Istnieją tam rozmaici „fachowcy“ w rzemiośle bandyckiem. Jedni napadają w biały dzień inkasentów, inni dokonywują zbrojnych rabunków po sklepach. Są to jednak bandyci *minorum gentium*. Arystokracyę wśród nich stanowią niewątpliwie specyaliści od napadania na banki i pociągi kolejowe, wiozące większe sumy. W ostatnich dniach dokonano takiego napadu pod Ząbkowicami na kolei warszawsko wiedeńskiej. Kilkunastu bandytów zatrzymało pociąg towarowy, w którym, jak przypuszczali, wieziono kasetkę z pieniądzmi kolejowemi. Tym razem spotkał jednak bandytów zawód. Pomimo najskrupulatniejszego zrewidowania pociągu oczekiwanej kasetki nie znaleźli i musieli odejść bez łupu...

Illustracya nasza przedstawia właśnie moment, gdy zbrojna szajka bandytów, zatrzymawszy pociąg, groźbą strzałów zmusza służbę kolejową do uległości...



Boże Narodzenie w Chinach: Drzewko urządzone przez chińską rodzinę chrześcijańską.



Przedstawienie w zakładzie wychowawczym: Uczestnicy przedstawienia amatorskiego w Zakładzie sierót i ubogich fundacyi St. hr. Skarbka w Drohowyżu.



Walka z warkoczem: Ambasador chiński w Wiedniu, Czen-Jui-Ling. (Do artykułu na str. 10).

Boże Narodzenie w Chinach.

Uroczystość Bożego Narodzenia wraz z tradycyjnem drzewkiem, to prawdziwe święto rodzinne, obchodzone na całym świecie z ogromną okazałością. W wieczór wigilijny jaśnieje choinka w pałacach bogaczów setkami świateł, ale i w biednej izdebce, zamieszkałej przez rodzinę wyrobniczą, gromadzą się wszyscy koło drzewka, skromnego wprawdzie, nie pozbawionego jednak swego uroku i przyczyniającego się do podniesienia uroczystego nastroju.

Jak daleko zaszedł chrystyanizm, na północy, czy na południu, na wschodzie i zachodzie obchodzą wszyscy owo święto miłości, wymieniają życzenia, i obdzielają się nawzajem podarunkami, czcząc w ten sposób pamiątkę narodzin Zbawiciela.

Nic też dziwnego, że zwyczaj ten zaczyna się rozpowszechniać i w „państwie środka", najbardziej zacofanym i konserwatywnym kraju na świecie. Chrześcijaństwo rozwija się tutaj powoli, ale systematycznie, rodziny nawrócone na łono prawdziwej wiary, wraz z światłem nowej nauki przyswajają sobie i chrześcijańskie zwyczaje, a między nimi tradycyjne drzewko. Nie jest to choinka taka jak u nas, ale tylko sztuczne jej naśladownictwo. Gałązki obwiesza się różnemi pstremi figurkami i kolorowymi



Filantropijna Warszawa: „Kiermasz gwiazdkowy" w salach redutowych w Warszawie.



Z walk w Trypolisie: Za szańcem z worków.

lampionami, dla młodego Chińczyka wystarcza to w zupełności i cieszy się tak samo, jak nasze dzieci zieleniejącą choinką, ozdobioną cukrami, jabłkami i orzechami.

W miarę cywilizowania się i europeizowania chińskiego społeczeństwa chrześcijaństwo zataczać tam będzie coraz szersze kręgi, młodsi Chińczycy, kształcący się w Europie przeszczepiają na swój grunt zwyczaje i obyczaje europejskie, więc z roku na rok coraz częściej spotykać się będzie wzmianki o „drzewku“ i „gwiazdce“ urządzonej przez chińskich rodziców dla swej grzecznej dziatwy.

Filantropijna Warszawa.

Jednem z miast, najbardziej ofiarnych na cele kulturalne i filantropijne jest niewątpliwie Warszawa. Poza licznemi, a często bardzo wielkiemi ofiarami, składanemi na ołtarzu dobra publicznego przez zamożne jednostki, ogół również spieszy chętnie na apel każdej filantropijnej akcyi — która ma tam zresztą bardzo szerokie pole do działania. W szeregu licznych zabaw, urządzanych na cele filantropijne, wielkiem powodzeniem i świetnym rezultatem materjalnym cieszy się doroczny „Kiermasz gwiazdkowy“ urządzany w salach redutowych na rzecz Towarzystwa opieki nad dziećmi.

W roku obecnym Kiermasz wypadł jeszcze okazalej, niż lat poprzednich, ponieważ sale redutowe zostały w lecie r. b. gruntownie odnowione. Urządzono tam 35 namiotów ze sklepami, w których w ciągu całego tygodnia panował ruch olbrzymi. Cała bowiem „Warszawa“ przesunęła się przez sale Redutowe, zamienione na Kiermasz, przedstawiający bardzo barwny widok: u góry obramowanie z przepysznych dywanów, u dołu sklepy, udekorowane kilimkami, dywanami i kwiatami.

Uroczystość otwarcia odbyła się wobec tłumów publiczności i przedstawicieli wszystkich instytucyi, biorących udział w Kiermaszu. Reprezentowały one 20.000 ubogiej dziatwy, dla której dochód z kiermaszu przyniósł jaśniejszą gwiazdkę.

Przedstawienie w Zakładzie wychowaczym.

Wielka misya wychowania młodzieży — polega nie tylko na kształceniu umysłu, ale również i serca... Sama nauka szkolna nie wystarcza. To też kierownicy szkół i zakładów wychowawczych nie szczędzą trudów i zabiegów, aby powierzonej ich pieczy młodzieży dostarczyć poza nauką podnioślejszych wrażeń. W tym celu w zakładach naukowych i wychowawczych urządzane są różne obchody, wieczorki i przedstawienia amatorskie, które poza rozrywką — kształcą umysł i serce.

Taki piękny wieczór odbył się w d. 10 b. m. w Zakładzie sierot i ubogich fundacyi Stanisława hr. Skarbka w Drohowyżu. W obszernej sali gimnastycznej Zakładu odegrano utwór Bolesławicza: „Belweder“. Należy się szczególniejsze uznanie dyrektorowi Zakładu panu Wilhelmowi Schmidtowi, który nie szczędził czasu i trudu, aby przedstawienie amatorskie wypadło jak najlepiej. To też sukces sztuki był zupełny. Panie: Strońska M. (hr. Starościeńska), J. Ostrowska (ks. Łowicka), panna J. Strońska (Zosia) wywiązały się ze swego zadania zna komicie. Również i młodzież zakładowa, (Muzyczyn Wilkosz, Stesłowicz, Wesołowski i inni) z przejęciem i z prawdziwem zrozumieniem odegrała swoje role. Całość wypadła bez zarzutu.

Publiczność miejscowa, jak również z sąsiedniego miasta Mikołajowa — zjawiła się bardzo licznie.



Wznowienie „Quo Vadis“ na scenie warszawskiej: Jadwiga Lewicka jako Poppea.



Wznowienie „Quo Vadis“ na scenie warszawskiej: Battistini i Ignacy Dygas w rolach Petroniusza i Viniciusza.



KREW

powieść z niedawnej przeszłości

napisał WALERY PRZYBOROWSKI.

2)

— Dobrze, kupię sobie szczoty — odrzekł machinalnie Władek, ciągle zapatrzony na Jolę, rumieniącą się nieustannie, a bujna jej, pyszna pierś falowała jak morze pod stanikiem. I w takiej chwili, z takim widokiem, ze wspomnieniem żywem wczorajszej rozkoszy, mówią mu o szczotach! Co za dziwaczny kontrast stanowią te słowa pół pijanego durnia, z myślą o słodkim, poetycznym uścisku najmilszej i najpiękniejszej z kobiet. I jakiż jeszcze dziwniejszy kontrast stanowi ten chudy, marny, szpetny, łysy, z obliczem napiętnowanem najwstrętniejszemi namiętnościami człeczyna, obok tej wspaniałej kobiety, tej rozkosznej, wczorajszej kochanki, pełnej obietnic na jutro i na pojutrze i na całe lata jeszcze!

Nakoniec Pijewodkow zerwał się, spojrzał na zegarek i gadał, że on musi wyjść, że ważne sprawy go czekają, że nie może zatem korzystać z miłej rozmowy „z panem Władysław". A zwracając się do żony gadał:

— Wy, Jola, pokażcie panu Władysław pokój, ja muszę iść. A gdzie mój rewolwer?

Spostrzegł się i uśmiechając się, a pokazując czarne zęby, tłumaczył Władysławowi:

— Czasy są niebezpieczne. Czort znajet, co się może stać. Ja zawsze chodzę z rewolwerem i radzę wam, pan Władysław, żeby i wy chodzili.

— Skądże wezmę rewolweru? — odrzekł udając niewinnego, bo mu się podejrzanym mocno wydał ten były pisarz gminny — nie mam zresztą pozwolenia na broń.

— Jak nie ma pozwolenia na broń, to i co?... napiszcie prośbę do oberpoliciejmejstera, a on wam da pozwolenie, po czemu nie?

Nakoniec znalazł swój rewolwer, wsunął go do kieszeni od paltota, podał rękę gościowi, skinął głową żonie i zniknął. Zostali więc sami i sami na długo. Ale cóż im teraz znaczyły jakieś godziny kradzione i chwilowe spotkanie się z sobą, kiedy Władek mógł odtąd całe dnie i całe doby przebywać z Jolą. Już teraz nie tylko drżąca tuja była powiernicą i świadkiem ich uścisków i miłosnych uniesień, ale całe mieszkanie, a nadewszystko zaciszny pokoik Władka. O! cóż to było za upajające życie, ileż szczęścia i ile rozkoszy ono niosło. Tak dalece owładnęło ono chłopcem, że zapomniał o wszystkiem, o swej partyi, ideałach, zamierzeniach i dążnościach, nie wychodził prawie nigdzie, niczem się nie zajmował, a tylko przeżywał nieustannie w myśli minione rozkosze i marzył o czekających go jutro.

Ale takie nieziemskie istnienie, takie zasklepienie się samolubne w swem szczęściu, nie mogło trwać długo. Chłodna rzeczywistość miała niebawem uchwycić w swe lodowate pazury rozognioną wyobraźnię Władka, strącić go z niebiańskich uniesień w cuchnącą prozę życia.

W parę dni po zamieszkaniu w pokoiku wynajętym od Pijewodkowa, znalazł się Władek na ulicy, oszołomiony jeszcze chmielem miłosnym, na pół nieprzytomny, ciągle rozpamiętujący niedawne rozkosze i chodząc tak bez celu, bo sam nie wiedział, po co wyszedł, natknął się na jednego z „towarzyszy", wybitnego działacza w partyi, noszącego przezwisko Strażaka, bo podobno służył niegdyś w straży ogniowej. Był to człowiek mało wykształcony, ale pełen niespożytej energii, zdecydowany na wszystko, żelaznej woli, ślepo wierzący, że nastały czasy proletaryatu, że idee jego świat zapłodnią i nowe życie się rozwinie. Był nizki, krępy, nabity w sobie, z głową dużą, czarnym, szczecinowatym włosem pokrytą, o małych, ruchliwych, bystrych oczkach, twarzy nieregularnej, jakby siekierą wyciosanej, ale pełnej mocy, energii i zapału. Mówił głosem grubym, zdaniami urywanemi, zaniedbany w ubiorze, zawsze w krawacie czerwonym, zmiętym i wytartym, w butach nieoczyszczonych i wykrzywionych, w bandyckim kapeluszu na głowie, mocno na czoło naciśniętym. Jak się właściwie nazywał, nikt nie wiedział, bo się starannie z tem, jak i ze swem mieszkaniem i sposobem do życia, ukrywał, tłumacząc, że tak trzeba robić, żeby policyi na trop swój nie wprowadzić. Zresztą w partyi, dzięki swej energii, swemu zapałowi, sile, jaka biła z jego postaci krępej, z jego słów rzadkich, ale mocnych, miał duże znaczenie i wpływ wielki. Dla Władka okazywał żywą sympatyę.

Spotkawszy więc tego ostatniego, rozmarzonego i śniącego o słodkich pocałunkach Joli, przystąpił do ni go swym ciężkim krokiem, pod którym ziemia drżeć się zdawała i zapytał szorstko:

— Co u dyabła z kolegą się dzieje?

— Nic — odrzekł Władek — cóż się ma dziać?

— Dlaczego nie byłeś na ostatniem zebraniu?

— Na ostatniem zebraniu? — powtórzył Władek, jakby sobie przypominał — a prawda, nie byłem.

— Dlaczego?

— Dlaczego? bo ja wiem dlaczego... zapomniałem.

Tak się tłumaczył, a przez myśl przebiegło mu wspomnienie tego niezapomnianego wieczoru, tej miękkiej kanapki, drżącej nad nim tuż białej piersi Joli, i westchnął, przejęty nieopisaną rozkoszą.

— Psiakrew! — zaklął gniewnie Strażak — to źle!

— Cóż tu złego?

— Nie zapomina się o naszych zebraniach, rozumiesz?

— Nic, nic nie rozumiem.

— Co u dyabła, masz taką minę, jakbyś z nieba spadł. Ręczę, że cię jaka baba opętała.

Władek nic nie odrzekł, ale pomyślał sobie:

— Gdybyś ty znał tę babę... babę! Jola babą! o głupcze jakiś!

A Strażak gadał dalej:

— Źle, że nie byłeś. Rozpatrywaliśmy sprawę Pietrzaka. Nieobecność twoją towarzysze źle tłumaczą.

— Dlaczego? cóż ja mam wspólnego z Pietrzakiem?

— Właśnie podejrzywają, że masz z nim coś wspólnego, że dlatego nie przyszedłeś na zebranie.

— Głupstwo!

— Nie głupstwo, ale rzecz poważna. Mają cię w podejrzeniu. Od kilku dni zniknąłeś gdzieś zupełnie. Nikt cię nie widział. Z dawnego mieszkania na Mokotowskiej wypisałeś się i nikt nie wie, gdzie mieszkasz. Co to znaczy?

Władek oprzytomniał zupełnie. Upajająca woń wspomnień pierzchła jak mgła, gdy ją wiatr rozwieje. Gniew go opanował. Podejrzywają go, jego podejrzywają! Rzekł więc gniewnie:

— Nie zwykł jestem tłumaczyć się z moich czynów, ale panu powiem, bo okazywałeś mi zawsze przyjaźń.

— Nie jestem żadnym panem. Dlaczego używasz burżujskich wyrażeń?

— Mniejsza o to, tu nie idzie o burżujskie lub nie burżujskie wyrażenia. Wyniosłem się nagle z Mokotowskiej ulicy, bo wiesz dobrze, że policya wpadła na mój ślad. Wszak mówił ci o tem Skalski?

— Mówił.

— A więc udałem, że wyjeżdżam z Warszawy, zmieniłem nazwisko i wynająłem inne mieszkanie, żeby ślad za sobą zgubić.

— Gdzie teraz mieszkasz?

— Na ulicy Elektoralnej.

— Numer?

Władek wymienił numer domu, a Strażak pytał:

— Jak się teraz nazywasz?

— Filip Włodarczyk. Takie nazwisko figuruje w danym mi przez Skalskiego pasporcie.

— To dobrze. Jesteś w porządku i nie bój się, już ja im teraz zmyję za ciebie głowę. Wiesz, jaki koniec ma sprawa Pietrzaka?

— Nie wiem.

— Skazano go na śmierć.

Mrowie przeszło Władka. Był przeciwny zabójstwom. Wzdrygał się na myśl odbierania komuś życia. Nikt i nigdy nie ma prawa zabijania drugiego. Nie zabijaj! woła odwieczne prawo ludzkości, życie jest wytworem, kwiatem natury, a człowiek gwałci to prawo i kwiat ten zrywa.

Obruszył się Władek:

— Bój się Boga, za cóż go chcecie zabić?

Strażak uśmiechnął się zjadliwie:

— Znowu używasz burżujskiego wyrażenia. Nie ma żadnego Boga. Czy nie wiesz o tem, że to jest przesąd burżujów i klechów?

— Ah, nie pleć! mów o Pietrzaku — zawołał z niechęcią Władek — za cóż go chcecie zamordować?

— My nie mordujemy, tylko karzemy śmiercią zdrajców.

— Alboż Pietrzak jest zdrajcą?

— Są mocne podejrzenia, a w naszej partyi nikt nie może być podejrzanym.

— Więc na podstawie jakichś niepewnych, może zupełnie fałszywych podejrzeń, chcecie zabijać człowieka? Przecież to zbrodnia!

— Podejrzenia nasze nie są niepewne, ani fałszywe, ale uzasadnione. Bo trzeba ci wiedzieć, że od kilku tygodni przebywa w Warszawie nadzwyczaj zręczny i przebiegły szpicel. Policya go skądś sprowadziła. Nie wiemy jeszcze, gdzie mieszka i jak się nazywa, ale się dowiemy. Wiadomo tylko, że ma na imię Wasyl.

— To dobrze, ale cóż Pietrzak ma z tem wspólnego?

— Tego szpicla Wasyla kilku naszych widziało. Nizki, chudy, z łbem łysym... ale sprytny szelma... otóż widziano Pietrzaka, jak z nim gadał w restauracyi na Lesznie, chodził z nim, a nazajutrz Kędziorka aresztowano i twoje nazwisko wypłynęło na wierzch w policyi.

— Co nie przeszkadzało wam wcale mnie podejrzywać, że mam coś wspólnego z Pietrzakiem.

— Tak, było to głupstwo... ale żyje się w takich czasach, że dyabli wiedzą, co ludziom do łba przychodzi.

Umilkli obaj na chwilę. Władek zamyślił się o tych strasznych istotnie czasach, w których życie ludzkie mniej ważyło, niż najnędzniejszego robaka. Wreszcie rzekł:

— To są wszystko nieuzasadnione niczem podejrzenia. Nie znacie dobrze tego nowego szpicla, a mówicie, że był w restauracyi i chodził z Pietrzakiem. Cóż za dowód, że to szpicel, ów jakiś łysy i chudy jegomość?

— Skalski go nam wskazał i zapewnił, że to szpicel.

— To niczego nie dowodzi. Skalski mógł się mylić, a jeżeli się nie mylił, to ci z towarzyszy, którym go wskazał, widząc raz obcego człowieka, mogli się pomylić.

— Widzieli go kilka razy i nie mylą się.

— Zresztą Pietrzak mógł przypadkiem się z nim spotkać i gadać. Ileż to razy w knajpie gada się z nieznajomymi ludźmi!

— Nie powinno się gadać, bo teraz Warszawa roi się od szpiclów. Trzeba być ostrożnym, mieć się na baczności. Bronisz Pietrzaka, ale czem wytłumaczysz, że nazajutrz, gdy widziano go w knajpie ze szpiclem, aresztowano Kędziorka i twoje nazwisko zanotowano w policyi? czemże to wytłumaczysz?

— Może to być prosty zbieg okoliczności. Ależ na Boga, tak nie można postępować.

— Znowu Bóg — mruknął Strażak.

— To splami naszą ideę, nasze zamiary! — wołał Władek — to zbrodnia, ohydna zbrodnia! Nie! ja nie mogę na to pozwolić. Trzeba zwołać nadzwyczajne zebranie, jeszcze raz tę sprawę rozpatrzyć. Jakże żałuję, żem we wtorek nie był na zgromadzeniu!

Okrzyk ten wyrwał mu się mimowolnie z uciśnionej rozpaczą piersi! Tak, nie był na zebraniu, na którem szło o życie człowieka, bo go zatrzymały nie sprawy partyi, nie służba idei, ale białe ramiona kobiece, lubieżny uścisk kochanki. I jeżeli dotąd zatapiał się we wspomnienia tego rozkosznego wieczoru z lubością zakochanego, to teraz ogarnęło go jakieś obrzydzenie, bo stanęło mu przed oczami widmo Pietrzaka z rozbitą od kuli rewolwerowej głową, a mózg tej głowy, zdawało mu się, że padł na twarz i łono Joli. O! teraz każdy jej pocałunek, każdy uścisk zatruje mu krwawa mara Pietrzaka, która będzie wołać: zabiłeś mię, zamiast mnie bronić, wolałeś mdleć w ramionach kobiecych. Ty, nie kto inny, winien jesteś mej śmierci, zmarnowania mego życia młodego! tyś moim zabójcą!

Więc w rozpaczy począł nalegać na Strażaka, ażeby zwołał, ażeby mu dopomógł do zwołania nowego zebrania, bo trzeba ratować Pietrzaka.

— To jest niemożliwe — odparł ponuro Strażak — policya już wie o naszem wtorkowem zebraniu. Dom ten ma na oku. Wczoraj odbyto tam rewizyę, na szczęście nic nie znaleziono, ale trzeba nam się mieć na baczności, przycichnąć na chwilę, dopóki policya i szpicle się nie uspokoją.

— Więc co robić? powiedz co robić?

— Teraz nic. Powtarzam ci, trzeba na czas jakiś przycichnąć, nie ruszać się, nie chodzić, nie gadać.

— Ale Pietrzak?

— Pietrzak zginąć musi!

— Człowieku! — zawołał ze zgrozą Władek — zastanów się! wszak to idzie o życie ludzkie. Czyż można kogoś zabijać na podstawie prostych podejrzeń?

— Pietrzak zginąć musi!

— A! doprowadzasz mię do rozpaczy. Zmiłuj się, ratuj go! dopomóż mi do uratowania tego człowieka.

— Pietrzak zginąć musi!

Powtarzał to z uporem, głosem grubym i jednostajnym, z bezwzględnością kropli wody spadającej na kamień. Był nieubłaganym mieczem stronnictwa, które przed zdradą musi krwawą pomstą się osłaniać. — Stał ponury w swej nizkiej, krępej, byczej postaci, z tą głową wielką, energiczną, twarzą, na której nie błysła nigdy łza, nigdy litość, nigdy współczucie. On był wcieleniem bezwzględności stronniczej, niezłomnym, jak przeznaczenie, jak odwieczne prawo przyrodzenia.

I jak gdyby go znudziły te nalegania Władka, otrząsnął się, podał mu rękę i rzekł:

— Odchodzę, spieszy mi się.

— Nie odchodź jeszcze, pogadajmy! — przytrzymywał go Władek, widząc w nim jedyną deskę zbawienia dla Pietrzaka.

— Odchodzę, będę u ciebie w tych dniach na Elektoralnej.

I wyrwał się z rąk Władka i odszedł parę kroków, zatrzymał się i przez ramię zawołał:

— A strzeż się się bab! Pietrzaka kobieta zgubiła. Do widzenia!

I ruszył stąpając ciężko, kołysząc się na swych grubych, wielkich nożyskach, pochylony, olbrzymi w swej niedźwiedziowatej postaci.

III.

Ostatnie słowa Strażaka zastanowiły Władka, bo zdawało mu się, że jest w nich napomknienie o jego stosunku z Jolą. Wszak dwukrotnie Strażak ostrzegał swego młodego „towarzysza“, aby unikał kobiet i wkońcu rzekł, że kobieta zgubiła Pietrzaka. Czyż nie było to wyraźnem, że tą kobietą była Jola, bo gdyby nie ona, gdyby nie była zatrzymała Władka na ulicy, nie zaprowadziła do siebie i w białych swych ramionach nie utuliła, byłby na zebraniu, byłby bronił teraz Pietrzaka i może od śmierci obronił. Tak, Jola wszystkiemu winna i słusznie Strażak powiedział, że kobieta zgubiła Pietrzaka.

Ale skąd Strażak wie o stosunku Władka z Jolą?

Zdawało mu się, że wszyscy o tem wiedzą, że każdy z twarzy jego to czyta, ale powoli myśl jego wyłącznie zajęła sprawa Pietrzaka. O wszystkiem zapomniał, o Joli, jej pocałunkach i namiętnych uściskach, a myślał tylko o tym młodym, tęgim chłopaku wiejskim, którego skazano na śmierć i którego śmierci on jest winien, choć znał go bardzo niewiele, ale zgubiony, należało go teraz ratować. Chciał biedz za Strażakiem zatrzymać go i jeszcze raz błagać gorąco o pomoc w tej sprawie, ale już Strażak był daleko, przez chwilę widać było jeszcze jak kołysał się na nogach, a potem zniknął w tłumie.

Ale przecież, prócz Strażaka, byli jeszcze inni „towarzysze“, także posiadający pewne znaczenie i wpływ. Zwłaszcza przypomniał mu się niejaki Kwiatkowski, człowiek już starszy, zecer, drukujący potajemnie gazetkę partyjną, chłodny, spokojny,



Przy kominie stała pani Kwiatkowska i coś tam warzyła.

który właśnie tym chłodem wywierał duży wpływ na rozgorączkowane głowy młodych swych kolegów. Władek wprawdzie znał go niewiele, zaledwie parę razy z nim rozmawiał i to krótko, ale cóż to znaczy? Wiedział, że Kwiatkowski mieszka na ulicy Grzybowskiej, bo był u niego raz po świeżo odbity numer gazetki tajemnej. Postanowił więc zaraz pójść tam i zażądać pomocy w ratowaniu Pietrzaka.

Na szczęście Kwiatkowski był w domu. Zajmował z żoną i dzieckiem dwa małe pokoiki i kuchenkę, przy kominie której stała pani Kwiatkowska i coś tam warzyła. Była to kobieta młoda, blada, wynędzniała, widocznie chora, i na zapytanie Władka, czy mąż jej w domu, odrzekła potwierdzająco głosem słabym, miękkim i bacznie obrzuciła wzrokiem przybysza.

Kwiatkowski przyjął Władka bardzo grzecznie, bo wśród towarzyszy, choć ci należeli do skrajnej partyi Proletaryatu, uchodził on, jako szlachcic, za coś lepszego i budził dla siebie pewne uszanowanie, a przytem miano o nim opinię, że jest uczony, bo czytuje gazety i książki.

Gdy Władek wyłuszczył Kwiatkowskiemu powód swego przybycia, ten po pewnym namyśle, rzekł:

— Proszę pana (nie wahał się użyć tego burżujskiego wyrażenia, za co zapewne byłby go Strażak surowo zgromił), byłem na zebraniu, na którem skazano Pietrzaka na śmierć. Broniłem go, bo oskarżenie go zdradę wydawało mi się i wydaje dotąd na bardzo słabych podstawach oparte. Ale cóż ja tu teraz mogę poradzić? Pan wiesz, jaka zaciekłość większość naszych towarzyszy ogarnęła. Gdybyśmy nawet zdołali zwołać zebranie, co wprost jest niemożliwem, bo niema gdzie, gdyż dawny lokal na Chłodnej jest znany policyi i podobno tam rewizya była, to czy pan myślisz, żeby się to na co przydało? Przypuściwszy, że komitet wyrok by odmienił, karę śmierci na Pietrzaka cofnął, to, czy pan sądzisz, żeby go to ocaliło? Wcale nie i takby go zabili zaciekli i zawzięci towarzysze, nie zważając na opozycyę komitetu.

Władek wiedział o tem doskonale i musiał uznać słuszność uwagi Kwiatkowskiego. Zapytał zatem z rozpaczą:

— Więc cóż robić? przecież nie można pozwolić, by zabijano człowieka może niewinnego.

— Hm! podejrzenia są bardzo poważne. Widziano go rozmawiającego w restauracyi z jakimś szpiegiem i chodzącego z nim. Policya aresztowała paru naszych towarzyszy, co nie mogło nastąpić inaczej, jak w skutek denuncyacyi. Rząd przytem wie o miejscu naszych zebrań, co przyzna pan, dyablo obciąża Pietrzaka.

— A skądże pewność, że to Pietrzak denuncyował?

— Jużcić pewności niema, ale są, powtarzam, poważne podejrzenia. I jeszcze jedno. Oddawna nasi towarzysze zwrócili uwagę na to, że Pietrzak od kilku tygodni porzucił fabrykę, w której pracował, niema żadnego zajęcia, a jednak zawsze posiada pieniądze, mieszka w trzech pokojach, a swoją kochankę stroi, jak jaką hrabinę.

— A! więc ma kochankę?

— Ma! Andzia Zaparcianka, córka stróża z Żórawiej ulicy, wcale ładna dziewczyna. I bodaj, jeżeli Pietrzak w rzeczy samej jest zdrajcą, czy nie ona go do tego przywiodła.

— Jakim sposobem? — pytał ciekawie Władek, bo w tej wiadomości znajdował rozwiązanie tajemniczego napomknienia Strażaka, że kobieta zgubiła Pietrzaka.

— Takim, że jest to dziewczyna próżna, lubi się bawić, chodzić do teatru, jeździć dorożkami, stroić się w jedwabie i kapelusze z piórami. Znam ja dobrze, bo jest to daleka kuzyna mojej żony i bywała u nas dawniej często. Moja żona i ja strofowaliśmy ją za jej życie na wiarę z Pietrzakiem i za jej zbytki, aż obraziła się i od kilku miesięcy przestała do nas przychodzić.

— Ale czemże ona mogła przywieść Pietrzaka do zdrady?

— Czem? Ależ to, co on zarabiał w fabryce, nie mogło nigdy wystarczyć na zbytki Andzi, na jej stroje, na trzechpokojowe mieszkanie z firankami, meblami, dywanami, na rozbijanie się dorożkami, bywanie w teatrze, włóczenie się po knajpach i spacerach. A wiem, że odgrażała się, że jeżeli Pietrzaka nie stać na te, by ją utrzymywał tak, jak ona chce, to go porzuci. Pietrzak się martwił, bo kocha tę dziewczynę do zapamiętałości, a pan wie, że jak się kocha kobietę, to się wszystko dla niej zrobi. Tacy my mężczyźni jesteśmy głupi.

— Wszystko to być może, ale nie jest jeszcze dowodem, żeby Pietrzak był zdrajcą.

— Ba! proszę pana, czy się to ma kiedy dowód zdrady? Zdrada to jak nietoperz, tylko w ciemności żyje i w ciemności napada na swe ofiary. Ja nie twierdzę wcale, żeby Pietrzak był istotnie zdrajcą, ale mi się nie podoba jego życie i mam podejrzenia. Jużcić nie pragnę jego śmierci i nawet uważam, że nasi zbyt pospiesznie go osądzili, ale cóż ja mu pomódz mogę?

— Więc umrzeć musi? — zawołał z rozpaczą w głosie Władek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Oryginalne dzieło polskich artystów.

Epopeja Napoleońska, która jest tak niewyczerpanym skarbem natchnienia dla poetów i artystów, zostanie uwieczniona zupełnie oryginalnem dziełem, którego twórcami jest dwóch polskich artystów,



Oryginalne dzieło artystów polskich: Wykonawcy „Epopei Napoleońskiej“ — artyści malarze: Waroczewski (stoi) i Ostoja (siedzi) w pracowni w Paryżu.

mieszkających w Paryżu, Ostoja i Waroczewski. Postanowili oni upamiętnić rok Napoleoński przez wykonanie w miniaturze plastycznie szeregu bitew z epoki Napoleońskiej. Dzieła te zamówione zostały przez muzeum armii francuskiej, które ponosi także koszta ich wykonania.

Pomysł jest bardzo oryginalny, a ponieważ postacie i tło zrobione będą plastycznie w kolorach, każda bitwa będzie rodzajem małej panoramy. Jako materyał zostanie użyty do odlewu postaci ołów i cyna. Teren wykonany będzie z gipsu, cementu, kleju, przędzy, gliny i t. p., podłoże zaś stanowić będą rusztowania z drzewa, gwoździ, drutu żelaznego.

Cykl dzieł obejmować będzie dwanaście najważniejszych momentów z walk, jakie staczał Napoleon i jego żołnierze. Rozpocznie walka na moście na Arcole. Grenadyerzy idą do ataku, a na czele Napoleon z rozwianym sztandarem w ręku. Dalej pójdzie wzięcie Texelu, walka pod piramidami, gdzie walczą trzy czworoboki bohaterów. Dalszy obraz przedstawiać będzie przejście przez górę św. Bernarda, wśród śniegów i niebywałych trudów. Inne zaś przedstawią cmentarz w Eylau, słynny atak szwoleżerów pod Somo Sierra, barykady w Saragossie, bitwę pod Austerlitz, wjazd Napoleona do Warszawy i inne. Zakończeniem cyklu będzie Waterloo z bohaterskiem atakiem Neya na piechotę angielską — kres władzy i świetności „małego kaprala“.

Całość ma być gotowa już za kilka miesięcy. Obecnie są już wykończone miniatury, przedstawiające wjazd Napoleona do Warszawy oraz atak pod Somo-Sierrą.

Artyści, aby historycznie wiernie bitwy przedstawić, studyowali topografię terenów na miejscu oraz zużytkowali materyał historyczny, jaki mieli do dyspozycyi.

Ilustracya nasza przedstawia polskich twórców tego oryginalnego dzieła w ich pracowni w Paryżu.

Nowy teatr w Warszawie.

Warszawa obecnie nie może u skarżać się na brak teatrów. W ostatnich czasach pozyskała dwa nowe przybytki sztuki scenicznej. Drużyna artystyczna Zelwerowicza, który po powtórnem spaleniu się gmachu teatralnego w Łodzi, opuścił to niegościnne miasto — rozbiła namioty w Warszawie, rozpoczynając kampanię artystyczną pod znakiem poważnej sztuki, bo „Weselem“ Wyspiańskiego. O kilka dni zaś wcześniej otworzył podwoje nowy teatr, zorganizowany przez znaną artystkę sceny warszawskiej, p. Łaską.

Nowa ta scena, poświęcona repertuarowi lżejszemu, przeważnie z zakresu fars, nosi nazwę „Teatru Michaliny Łaskiej“, a znalazła doskonałe pomieszczenie w przerobionym gmachu panoramy na Dynasach. Sala teatralna, urządzona wygodnie i wykwintnie, jest obszerna i może pomieścić przeszło 1000 osób... Nie można jednak powiedzieć, aby była za obszerną, gdyż Warszawa lubi się przecie bawić, a teatr p. Łaskiej ma być właśnie przybytkiem humoru i krotochwili. Na pierwszy ogień poszła też „Nuna“, farsa oryginalna młodego, lecz utalentowanego autora, p. Kiedrzyńskiego, laureata ostatniego konkursu dramatycznego w Warszawie.

Teatr Michaliny Łaskiej rozpoczął w ten sposób kampanię artystyczną pod znakiem popierania twórczości swojskiej, tak ubogiej właśnie w zakresie repertuaru farsowego... Jest to więc zadanie chwalebne, ale i bardzo trudne, bo dotychczas w farsie nie tylko u nas, ale i zagranicą królują niepodzielnie Francuzi...

„Nuna“ p. Kiedrzyńskiego dała jednak p. Łaskiej szerokie pole do rozsypania tych pereł talentu, wdzięku i humoru, które zdobyły jej ogólną sympatyę publiczności warszawskiej... Na inauguracyjnem przedstawieziu zgotowano też „dyrektorce“ nowego teatru gorącą owacyę, co powinno być dobrą wróżbą na przyszłość...

Twórca najdoskonalszego Pogotowia ratunkowego.

Trudno sobie dziś wyobrazić większe miasto, bez Pogotowia ratunkowego. A jednak nie tak da-



Twórca najdoskonalszego Pogotowia ratunkowego: Ś. p. Konstanty hr. Przeździecki.

wne to czasy, gdy instytucya ta, dniem i nocą niosąca dziś pomoc w tak częstych, niestety, nieszczęśliwych wypadkach i zasłabnięciach, nie była wcale znaną. Pierwszy posterunek Pogotowia powstał dopiero w r. 1884, a twórcą tej instytucyi był Francuz, dr. med. Henryk Nachtel. W r. 1884 zorganizował on w Paryżu pierwszą organizacyę ratunkową, nazwaną „Ambulances urbaines“. Skoro tylko okazały się wielkie zalety tej organizacyi, za Paryżem poszły inne miasta. Z miast Król. Pol. najpierw otrzymała Pogotowie Warszawa — dzięki nadzwyczajnej energii i poświęceniu ś. p. Konstantego hr. Przeździeckiego, który w dzieło to włożył energię i pracę całego swojego życia. Nie szczędząc pieniędzy i zabiegów, doprowadził wewnętrzną organizacyę Pogotowia warszawskiego do takiej doskonałości, że stało się ono wzorem dla innych miast polskich.

Kiedy przed kilku tygodniami przybył do Warszawy twórca organizacyi ratunkowej w Paryżu, dr. Nachtel, nie miał dość słów podziwu dla doskonałości i sprawności oraz rozwoju dzieła, stworzonego przez ś. p. hr. Przeździeckiego i oświadczył stanowczo, że Pogotowie warszawskie niema sobie



Nowy teatr w Warszawie: Inauguracyjne przedstawienie w teatrze Michaliny Łaskiej. (Scena z aktu III. „Nuny“ Kiedrzyńskiego).



Największe okno na świecie: Olbrzymie okno przeznaczone dla jednej z fabryk w Lincoln (stan Nebraska).

równego na świecie. To też dr. Nachtel wyraził zdziwienie, że nie pomyślano dotychczas o uczczeniu zasług hr. Przeździeckiego i nie wzniesiono mu pomnika. Ale niewątpliwie dzieło, stworzone przez ś. p. Przeździeckiego, stało się dlań najpiękniejszym i najtrwalszym pomnikiem.

Okrucieństwa wojny.

Każda wojna nie jest sielanką, ale obecna wojna włosko turecka obfituje w tak straszne okrucieństwa, na samą myśl których wzdryga się dusza. Zaraz po wybuchu wojny wywołały oburzenie całego świata doniesienia korespondentów o krwawych nadużyciach, jakich dopuszczali się Włosi wobec Turków i Arabów. Pisano o masowych masakrach, o rozstrzeliwaniu kobiet i dzieci. Na ulicach Trypolisu i innych miast, objętych wojną, Włosi gospodarowali bezwzględnie, mordując zarówno tych, których przyłapali z bronią w ręku, jak i często niewinnych i bezbronnych.

Niedługo jednak nastąpił ze strony Turków i Arabów krwawy odwet, tem straszniejszy, iż, o ile Włosi swych przeciwników rozstrzeliwali, Turcy i Arabowie zaczęli dopuszczać się na Włochach wyrafinowanych okrucieństw. Znajdowano żołnierzy włoskich żywcem ukrzyżowanych, z rozciętemi piersiami lub rozprutymi brzuchami. Zwłaszcza Arabowie pastwili się w okropny sposób nad schwytanymi jeńcami włoskimi: zakopywali ich żywcem, obcinali członki ciała, wypalali oczy i zadawali im najwyszukańsze męczarnie...

Wobec takiego barbarzyństwa ze strony arabskiej bledną morderstwa popełniane przez Włochów, którzy chwycili się obecnie jeszcze surowszych represyi. Aby odstraszyć Arabów od popełniania tak strasznych okrucieństw, skazują na śmierć wszystkich, komu zostanie udowodniony choć najlżejszy współudział w okrucieństwach. Wyroki śmierci wykonywane są przytem nie przez rozstrzelanie, lecz przez powieszenie, które uchodzi u Arabów za śmierć najbardziej hańbiącą.

Masowe egzekucye na skazańcach odbywają się w Trypolisie publicznie, na ulicy. Ilustracya nasza przedstawia właśnie straszne żniwo takiej masowej egzekucyi. Na długiej belce wiszą ciała straconych Arabów — jako odstraszający przykład kary dla arabskich okrutników.

Przedwczesna śmierć artysty.

W tych dniach zmarł w Warszawie po długiej i ciężkiej chorobie, młody i wybitny artysta dramatyczny scen prowincyonalnych, śp. Leon Bzowski. Karyerę sceniczną rozpoczął w roku 1902 w teatrze ludowym pod dyrekcyą M. Gawalewicza, gdzie wybitne jego zdolności wysunęły go rychło na czoło artystów tego teatru. Kolejno występował w pierwszorzędnych rolach amantów w trupach Puchniewskiego, Bolesławskiego, Knake Zawadzkiego, przez lat kilka odbywał tournée po Litwie i Rusi i w cesarstwie w trupie dramatycznej p. Przybyłko-Potockiej i w trupie p. Siemaszkowej, występując w pierwszoplanowych rolach. Przez kilka lat należał do składu artystów teatru Małego Gawalewicza i dał się poznać jako artysta pełnej miary.

W swej karyerze artystycznej śp. Bzowski posuwał się niezmiernie szybko, był to bowiem talent niepospolity z dużym zasobem inteligencyi, wyróżniał się zaś zawsze umiejętnem opracowaniem szczegółów roli i wycieniowaną dykcyą. W repertuarze swoim posiadał przeszło 200 ról pierwszoplanowych.

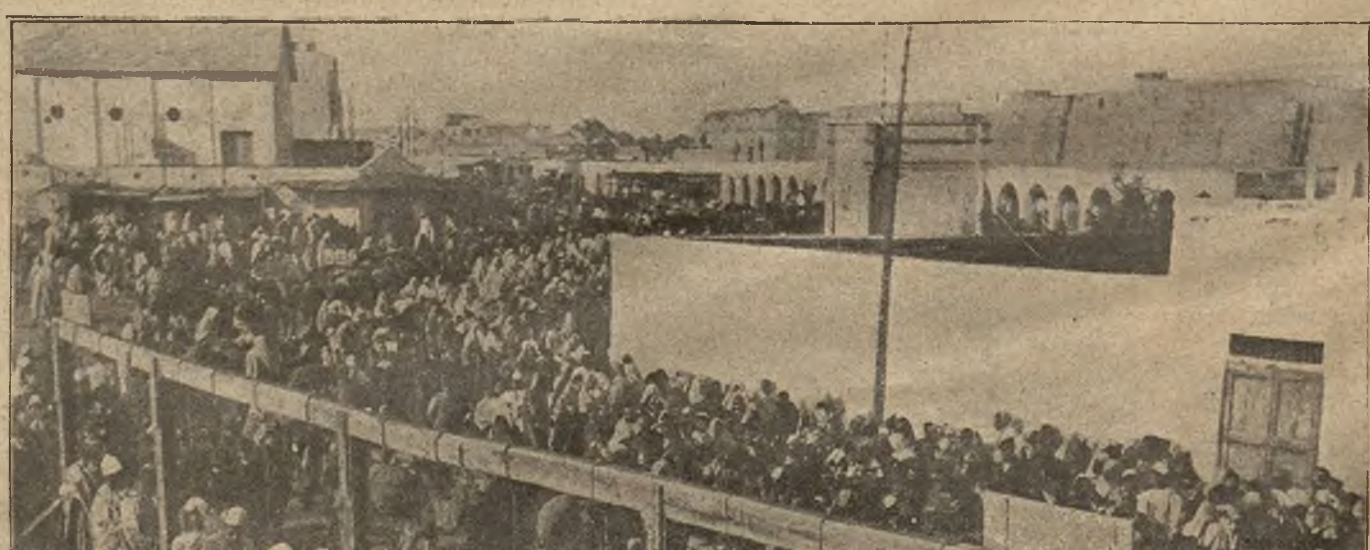
W świecie artystycznym, w którym śp. Leon Bzowski cieszył się uznaniem i szacunkiem, jako artysta i jako prawy i zawsze życzliwy kolega — przedwczesny zgon jego wywołał szczery i powszechny żal. Zmarł w wieku lat 32, w chwili, gdy talent jego rozwinął się już w pełni i wróżył mu rychłe zajęcie należnego stanowiska w szeregach



Przedwczesna śmierć artysty: Ś. p. Leon Bzowski



Zgon zasłużonej obywatelki kraju: Zofia z Bover de St. Clairów hr. Stanisławowa Kossakowska.



Okrucieństwa wojny: Masowe wieszanie Arabów w Trypolisie.

pierwszorzędnych pracowników naszej sceny dramatycznej w Warszawie.

Zgon zasłużonej obywatelki kraju.

W tych dniach zeszła ze świata w pełni życia jedna z tych postaci kobiecych, których wspomnienie pozostanie zawsze piękną kartą w kronikach Warszawy. Zmarła ś. p. Zofia z Bower de St



Z życia towarzyskiego: Zofia z Szulców Michałowa Dolińska.

Clair'ów hrabina Stanisławowa Korwin Kossakowska, która uniosła ze sobą do grobu żal szczery i pamięć zacnej kobiety — obywatelki, owianej nimbem poezyi i prostoty dawnych matron polskich.

Dom hr. Kossakowskich był znany i ceniony w Warszawie. Hr. Stanisław Szczęsny Kossakowski osiadł w Warszawie na początku przeszłego wieku. Zdolny i wykształcony, sam malarz i pisarz niepośledni, potrafił wkoło siebie skupić szeregi ludzi, którzy w salonach hr. Kossakowskich umieli czerpać podnietę do pracy twórczej dla dobra społeczeństwa. Przez wiek cały salony te stanowiły ognisko, z którego promieniowała myśl obywatelska i rodziły się szlachetne dzieła. Syn jego Stanisław poszedł w zupełności śladami ojca, a dzielną współpracowniczką jego była żona ś. p. hr. Zofia, w której tradycya polskości, z takim pietyzmem pielęgnowana przez jej poprzedniczki, znalazła godną przedstawicielkę. Dom hr. Kossakowskich do ostatniej chwili był i pozostał domem szczerze polskim, a choć przed sześciu laty zabrakło jego gospodarza, hr. Zofia Kossakowska strzegła jego tradycyi do ostatniego momentu życia.

S. p. Zofia Kossakowska, córka konsula angielskiego w Jassach, w bardzo młodym wieku została sierotą. Sieroctwo to tem bardziej może uszlachetniło i wysubtelniło jej duszę, czyniąc ją bardzo wrażliwą na to, co dobre i piękne. To też wokoło siebie roztaczała tyle dobroci i miłości, iż każdy, ktokolwiek u niej szukał pomocy lub oparcia, dom hr. Kossakowskich opuszczał z wdzięcznością.

Ostatnie lata swego życia po stracie ukochanego męża, poświęciła hr. Zofia wychowaniu córki i syna, opiekując się zarazem serdecznie ochronką, którą dla uczczenia pamięci swego męża założyła.

W 43 roku śmierć przecięła to życie, tak piękne i szlachetne.

Z życia towarzyskiego.

W sferach towarzyskich Warszawy wywołały zainteresowanie zaślubiny pomiędzy p. Zofią z Szulców Kukszową a p. Michałem Dolińskim, rotmistrzem zapasu pułku huzarów grodzieńskich gwardyi, konsystującego w Warszawie, właścicielem dóbr w połudnowej Rosyi. Nowozaślubiona, obdarzona niezwykłą urodą, za czasów swego panieństwa królowała na najwspanialszych balach warszawskich pod mianem „uroczej Zosi Szulcówny". Pan młody znany był w kołach złotej młodzieży wojskowej jako posiadacz najpiękniejszych kłusaków z własnej stadniny. Obrzęd zaślubin odbył się w Rzymie, poczem nowożeńcy odjechali do majątku pana młodego, gdzie stale zamieszkają.

Sensacyjne aresztowanie szpiegów.

Mimo energicznego tępienia szpiegostwa, rozwielmożnionego w naszym kraju, przyczem i niewinne osoby padają czasami ofiarą dłuższego więzienia, władze galicyjskie nie mogą sobie dać rady z tem ohydnem rzemiosłem. W ostatnich dniach wykryto całą szajkę, która grasowała w Krakowie, Lwowie i innych miastach. Aresztowano 10 osób. Herszta szajki, który buja poza granicami, nie schwytano. Jest nim Filemon Stecyszyn, syn włościański ze Starych Brodów, który był praktykantem urzędu pocztowego w Złotcach, a następnie oficyantem pocztowym w Borysławiu i Brodach.



Z życia towarzyskiego: Michał Doliński, b. rotmistrz leib-gwardyi grodzieńskiego pułku huzarów w Warszawie.

Na stanowisku tem dopuścił się defraudacyi kilkuset koron, za co odsiedział kilka tygodni w więzieniu. Po odsiedzeniu kary, zapoznał się w Starych Brodach z emerytowanym nadstrażnikiem skarbowym Włodzimierzem Wierzbickim i obaj wkrótce zaofiarowali swe usługi szpiegowskie obcemu mocarstwu. Niebawem jednak władze austryackie wpadły na trop szpiegów. Wierzbickiego aresztowano, Stecyszyn zaś zbiegł za granicę. Nie mogąc działać osobiście na terenie galicyjskim, zorganizował sobie w sposób sprytny szajkę, która była dobrze opłacana. Część szajki mieszkała w Galicyi, część zaś zagranicą. Porozumiewał się z nimi w Sosnowcu lub też w Radziwiłłowie.

Najpierw aresztowano we Lwowie Zofię Kucharzewską, 19 lat liczącą żonę podurzędnika kolej. z Warszawy. Przyjeżdżała ona do Galicyi bardzo często z polecenia Stecyszyna, pod nazwiskiem Zofii Rudzkiej, żony lekarza w Warszawie i zamieszkiwała w pierwszorzędnych hotelach. We Lwowie chciała ona nakłonić komisarza dyrekcyi skarbu W. Ł. do współudziału w szpiegostwie. Przywiozła nawet w tym celu listy i informacye od Stecyszyna. Komisarz nie dał się jednak nakłonić i zawiadomił o wszystkiem policyę, która zaraz aresztowała Kucharzewską i odstawiła ją wprost do więzienia.

Niebawem aresztowała policya we Lwowie 22letniego Adama Pakułę, technika, zamieszkałego dawniej w Warszawie, który sam zapoznał się z Stecyszynem, dalej Zygmunta Dreckiego, montera, pochodzącego z Warszawy, który mieszkał z Pakułą i Romana Goca, oficyanta Wydziału krajowego, b. kolegę szkolnego Stecyszyna. Drecki z Pakułą po aresztowaniu Kucharzewskiej telefonem zapytali po-



Z walk w Trypolisie: Artylerya włoska podczas walki pod Ain-Zara.



Sensacyjne aresztowanie szpiegów:

Teodor Charczuk, robotnik kolejowy w Krakowie. — Irena Stecyszynowa, matka organizatora szajki. — Włodzimierz Wierzbicki, emerytowany nadstrażnik skarbowy. — Roman Goc, oficyant Wydziału krajowego we Lwowie.



Sensacyjne aresztowanie szpiegów: Zofia Kucharzewska z Warszawy, żona podurzędnika kolejowego.

licyę co się z nią dzieje i w ten sposób zostali schwytani.

Następnie aresztowano Teodora Charczuka, przesuwacza wozów kolejowych w Krakowie, Irenę Stecyszynową, Teodora Sydora, Tadeusza Bechowskiego, oraz Jacyszynową, żonę inkasenta miejskich zakładów elektrycznych w Brodach.

Walka z warkoczami.

„Chińczyk warkocz ma i golony łeb“ śpiewają w operetce i całkiem słusznie, gdyż warkocz chiński stał się od dawna symbolem zewnętrznym mieszkańców państwa Smoka. Wprowadziła go dynastya mandżurska, jako symbol poddaństwa i zależności Chińczyków. Nic też dziwnego, że z chwilą gdy w Chinach dążenia rewolucyjne wzięły górę, rozpoczęto reformy od zniesienia tej zewnętrznej oznaki niewolnictwa. Specyalny edykt wydany przez księcia - regenta zniósł w państwie niebeskiem obowiązek noszenia warkoczy. Jednym z pierwszych który skorzystał z owego prawa, był poseł chiński przy dworze wiedeńskim Szeu Jui-Ling. Dał on przez to dowód, że jest człowiekiem nowoczesnych poglądów i zwolennikiem kultury europejskiej. Dotychczas bowiem wśród wszystkich dyplomatów państw, jedni tylko dyplomaci chińscy przywozili do Europy swój strój, zwyczaje i obyczaje swej ojczyzny. Podczas uroczystości dworskich i innych w Europie widywano wprawdzie dyplomatów tureckich w fezach, lub perskich w baranich czapkach, ale pozatem mieli oni na sobie suknie europejskie. Jedynie tylko dyplomaci chińscy stanowili wyjątek i w myśl tradycyi swej ojczyzny zjawiali się zawsze publicznie w swych narodowych strojach i z warkoczem.

Obecnie „ozdoba“ ta została zniesiona. Ambasador chiński w Wiedniu poszedł jednak jeszcze dalej i postanowił zeuropeizować cały wogóle strój dyplomatów chińskich. W tym celu przesłał do Pekinu wzory mundurów, jakie noszą dyplomaci europejscy, aby w podobne uniformy przystrojono również przedstawicieli państwa Niebieskiego przy dworach europejskich.



Sensacyjne aresztowanie szpiegów: Adam Pakuła, technik z dziedziny żelaznego tokarstwa z Warszawy.



Sensacyjne aresztowanie szpiegów:

Teodor Sydor, pisarz gminny i oglądacz bydła w Starych Brodach. — Aleks. Czajkowska, zamężna Jacyszynowa, żona inkasenta m. zakł. elektr. w Brodach. — Zygmunt Drecki, monter z Warszawy. — Tadeusz Bechowski, ślusarz kolejowy z Brodów.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

16)

Kamienicznik zaś nie zdawał sobie nawet sprawy co mogło być przyczyną ich nagłego wyjazdu, interes bowiem szedł im wcale dobrze; przypuszczał więc, że mąż pani Railton musiał wówczas powrócić z długiej, morskiej podróży, a powróciwszy, zabrał żonę i córkę do innej jakiejś miejscowości, aby prowadzić nowy jakiś interes. Wujaszek był w tym względzie — ma się rozumieć — lepiej poinformowany, lecz jak zawsze ostrożny, milczał o wszystkiem dyskretnie. Jedynym rezultatem poszukiwań w ostatnim kierunku była pewność, że Railtonowie gdzieś zniknęli i że odszukanie ich przedstawiać będzie także niemałe trudności.

Zachowanie dla naszej rodziny posiadłości Lantrig, bezskutecznie opłacone okropnym zgonem ojca, stało się niemożliwe. Trzeba ją było sprzedać; poczem ja przeniosłem się do Lizard do domu ciotki i wuja Loveday. Z powodu długów, obciążających hipotekę, pozostała kwota, nie przypadająca w udziale, redukowała się do minimalnego kapitaliku, który jednakże zabezpieczono w sposób możliwie najkorzystniejszy, abym mógł podnieść go w chwili, gdy wybije godzina wyruszenia w świat szeroki, dla wyszukania sobie, lub zdobycia pomyślniejszego losu.

W ciągu dwunastu lat, wolnych zupełnie od wszelkich ważniejszych zdarzeń i wypadków, byłem żywiony i odziewany kosztem ciotki: wuj zaś zajmował się mojem wychowaniem i wykształceniem. Prócz medycyny, której poświęcał się specyalnie, posiadał on jak na owe czasy wcale szeroki zakres wiedzy i wiadomości, między któremi prym trzymała łacina. Zadał sobie poczciwiec niemało trudu, żeby mnie jej wyuczyć należycie.

Tak w życiu, jak w nauce, Tomasz Loveday był moim jedynym kolegą i towarzyszem, wkrótce zaś został moim jedynym, ukochanym przyjacielem.

Biedny Tom! Przypominam sobie dokładnie jego miłą i piękną twarzyczkę, jaką miał w owym czasie; jego marzące i marzycielskie oczy, oraz rzadko pojawiający się na ustach uśmiech, połączony z subtelnym odcieniem żartobliwej ironii; jego płowe włosy, prawie zawsze rozwichrzone i jego wargi karminowe, wygłaszające nieraz długie, godne podziwu przemówienia. W snach moich — bardzo nieczęsto promieniejących szczęściem i radością — widzę zawsze nas obu jako malców, gdy wdzieramy się na skały po jaja mew, albo narażamy życie, wędrując po morzu w małej łódeczce wujaszka. Biedny Tom!

W miły i spokojny sposób upływał nam czas, nie pozostawiając po sobie śladów, aż do pamiętnego dnia w miesiącu lipcu, gdy... Lecz tu muszę zatrzymać się nieco dłużej.

Był wieczór.

Tom i ja wracaliśmy z pod Skały Umarłego, gdzie spędziliśmy całe popołudnie, prażąc się w cieple promieni słonecznych. Tomasz czytał, ja zaś, jak zwykle, z oczami zwróconemi w niebo myślałem, czy też zdołam kiedy zbadać tajemnicę owej fatalnej dla mnie miejscowości. Po niejakimś czasie, gdy on przestał czytać a ja marzyć, wykąpaliśmy się o zachodzie słońca. Przypominam sobie wybornie, że ile razy z raf czarnych wskakiwałem do wody, aby dać nurka, zastanawiałem się równocześnie, czy też nie znajdę na dnie jakiej relikwii, wiążącej się z tragicznym zgonem ojca i z rozbiciem się „Fortuny". Tyle już razy nurkowałem w temże samem miejscu, nie znajdując nic nigdy. To też i owego dnia również nic nie znalazłem. Pod blado niebieską zasłoną wód morskich dostrzedz było można tylko jasny piasek, chociaż prawdopodobnie, gdzieś głębiej pod nim, ukrywać się musiały kości Johna Railton.

Po kąpieli wracaliśmy piaszczystemi wzgórzami, ciągnącemi się wzdłuż wybrzeży, gdy nagle spostrzegłem jakiegoś małego człowieczka, pędzącego ku nam cwałem i gestykulującego w sposób rozpaczliwy.

— Sądząc z kształtu — rzekłem — musi to być Józef Roscorla.

W istocie był to Józef Roscorla, lecz nie ów zwyczajny z codziennego życia, lecz jakiś Joe zgalwanizowany, poruszający się żwawo i gwałtownie, gdy znany nam oddawna Joe był istotą o letargicznym temperamencie i wysłowieniu ciężkiem a powolnem. Jednakże to był on! Dobiegłszy do nas, uprzedził nasze pytania wrzeszcząc: „Panie! panie!", poczem zakaszlał się tak mocno, że nie można było zrozumieć, co bełkotał.

— Cóż? Co się komu popsuło? — zapytał Tom na wpół żartobliwie.

— Pani... pani nasza, trafiona... trzaśnięta piorunem... znieczulona zupełnie... — wyjąkał zdyszany Joe.

Poczem znowu zaczął kaszlać i spluwać na wszystkie strony.

— Co mówisz? — zawołałem, patrząc na Tomasza, który naraz zbladł jak ściana. — Więc to atak paraliżu?

— Atak... w rzeczy samej, tak mówiono... Jaki? nie wiem... bo już nie miałem czasu wysłuchać całej nazwy. Ale, panowie, jeśli chcecie zastać ją żyjącą, musicie lecieć prędko!

Nie pytając już o nic więcej, popędziliśmy naprzód nieledwie końskim biegiem. Joe czas pewien dotrzymywał nam kroku, lecz wkrótce pozostał za nami.

W chwili, gdy dopadliśmy do domu i chcieliśmy drzwi otworzyć, ukazał się w nich wujaszek. Po wyrazie jego twarzy poznałem, że ciotka Elżbieta nie żyje.

Stała przy piecu w kuchni, na której gotowała się dla nas wieczerza. Raptem padła na wznak i umarła w kilka minut potem. Był to anewryzm serca... Oddawna cierpiała na serce.

W naszych stronach ludzie umierają zwykle na anewryzm, apopleksyę, zapalenie mózgu, albo suchoty. Cała różnica między temi chorobami tkwi w ich dłuższem lub krótszem trwaniu, dlatego też Józef Roscorla, posłyszawszy, że choroba przyszła nagle, nie wątpił, że to musi być atak, chociaż nie wiedział, jaki.

Biedna ciotka umarła!

Teraz dopiero zrozumieliśmy, jak bardzo ją kochamy wszyscy. Jak niemal cała rodzina Trenowethów, wydawała się z pozoru sztywna, chłodna i obojętna. Lecz my, którzy żyliśmy z nią i przy niej, wiedzieliśmy doskonale, jakie złote miała serce i jak szczerze była religijną. Po nagłym zgonie żony, rozpacz męża była najlepszym dowodem licznych zalet jej charakteru, oraz jej nieograniczonej dobroci i szlachetności.

Wuj biedaczysko, czuł się niepocieszonym. Błądził z kąta w kąt po całym domu, nie mogąc czemkolwiekbądź zająć się na seryo. Zdawało mu się, że wraz z żoną utracił cel życia.

Brakło mu jej w każdej chwili, bo żył się z przekonaniem, że ona najwłaściwiej i najlepiej kieruje każdem jego przedsięwzięciem i każdym jego krokiem. Powoli... powoli, tęskniąc nieustannie, chudł, mizerniał i tracił siły... I w sześć miesięcy po śmierci ciotki Elżbiety, już leżał przy niej w rodzinnym grobie na cmentarzu w Polkimbra.

Na łożu boleści okazał wielkie i szczere zaniepokojenie naszą przyszłością.

Istotnie, dla nas obu przedstawiała się ona w nieróżowych barwach. Jeszcze Tomasz mógł i miał wstąpić na fakultet medyczny, lecz mój los był bardzo niepewny. Wprawdzie już przed chorobą wuja postanowiłem opuścić Lizard, w którem bądź co bądź pędziłem przeważnie próżniacze życie, chciałem z Tomem udać się do Londynu, gdzie miałem nadzieję, że zdołam dosięgnąć celu, któremu poświęciłem moje istnienie. Lecz w jaki sposób zdobędę potrzebne na to pieniądze? Wiedziałem, że pozostała po sprzedaży Lantrig suma, jest zupełnie niewystarczająca. Więc spędzałem długie dni bezczynnie, oczekując co da przeznaczenie. Nigdy zaś jaśniej nie zdawałem sobie sprawy z mojej bezsilności, jak w dzień, gdy wraz z Tomaszem znalazłem się w pokoju sypialnym umierającego wuja.

— Tom — rzekł on — zbliż się Tom do mnie.

Tomasz pochylił się nad łóżkiem.

— Pozostawiam was obu, moje kochane dzieci, bez opieki i bez stosunków. Posiadacie w Lizard niemało przyjaciół, lecz Lizard jest małym, zapadłym kątem olbrzymiego świata. Więc pozostać tu nie możecie. Ciebie Tom, powinienem był znacznie wcześniej wysłać do Londynu, lecz nie mogłem zdecydować się na to rozstanie... Ach! gdyby człowiek wiedział... gdyby człowiek wiedział, co go czeka!

Podniósł się nieco i oparty na łokciu mówił dalej z widocznem wysileniem.

— Sądzę, że Kasper będzie mógł z tobą pojechać. Pozostańcie na zawsze, moje dzieci, wiernymi sobie przyjaciółmi, bo na tym świecie, każdy z osobna, z trudnością tylko mógłby dać sobie radę. Walczyć musicie z losem, bo to, co pozostaje, ledwie wam wystarczy na utrzymanie w pierwszych czasach pobytu w stolicy. Podzielicie się po równej części... Ona tak chciała. Gdyby żyła, sama podzielitaby wasze skromne mienie na dwie równe połowy. Ja nie umiałem majątku przysporzyć, wiesz o tem... Ona, potrafiłaby niezawodnie, lecz nie chciała, przez wzgląd na mnie...

Był wczesny ranek. Blade i chłodne słońce grudniowe, wychyliwszy się z ponad widnokręgu, zajrzało przez okno do pokoju i oświetliło twarz chorego jakby aureolą świętych. Lekarz z miasteczka, który niewezwany przyjechał wuja odwiedzić, chciał zamknąć okiennice, lecz wujaszek powstrzymał go gestem i słowem.

— Nie, niech pan nie zamyka... Witam promienie słoneczne z radością. Wkrótce zresztą trzeba będzie rozstać się z nimi na wieki... Tom! przystąp bliżej. Byłeś zawsze dobrym chłopcem... tak, byłeś zawsze dobrym chłopcem, chociaż... tu uśmiechnął się jakimś dziwnie słodkim uśmiechem — chociaż czasem nudziłeś ją. Lecz ona ci przebaczyła, Tom... ona kochała cię tkliwie. Powtórzy mi to pewnie... gdy się tam... teraz spotkamy...

Wzrok wuja błądził już widocznie w zaziemskiej przestrzeni, bo zdawało mu się, że widzi ciotkę Elżbietę, idącą na jego spotkanie. Lecz po chwili odzyskał przytomność, oraz sił odrobinę i dodał:

— Ucałuj mnie, Tom... i przyszlij mi tu Kaspra.

Tomasz ustąpił na bok, zanosząc się od płaczu, ja zaś pochyliłem się nad umierającym.

— Ach, Kasper!... to ty! Ucałuj mnie, chłopcze. Tylko co powiedziałem Tomowi, że powinniście podzielić się po równej części... Bóg cię srodze doświadczył, mój chłopcze, bo cele Jego bywają nieraz tajemne i zakryte, zawsze jednak są dobre i rozumne. Ufać im należy. Bądź cierpliwy... wszystko powiedzie ci się wkońcu... Jak tu ciemno!... Otwórz okiennice.

— Otwarte, wujaszku.

— Mój drogi... ach! zapomniałem, chociaż ciągle o tem myślę... Przypominasz sobie ów dzień... gdyśmy czytali dziennik twego ojca... klucz twego ojca... i ów klucz...

— Pamiętam, wuju.

— Często o nim myślałem... rzuciłeś go do komina... a ja go z ognia wyciągnąłem... ów klucz twego ojca... klucz twego dziada. Nie zgub... zachowaj go starannie... Bliżej, Kasprze... bliżej...

Pochyliłem się niżej jeszcze. Ucho moje nieledwie ust jego dotykało.

— Myślałem nieraz... nieraz, że myliliśmy się owego wieczora, gdy... bo może... trzeba szukać...

Czas pewien trzymałem się pochylony nad nim, ażeby łowić uchem wyrazy, wymawiane coraz ciszej i coraz niewyraźniej, potem spojrzałem na twarz, powleczoną niezwykłą bladością i wysunąwszy z pod pleców ramię, którem go podtrzymywałem, złożyłem siwą głowę na poduszce.

Wuj mój nie żył.

— — — — — — — — — — — — — —

W kilka tygodni potem, Tomasz i ja, unosząc z sobą skromny fundusik, składający się z sumy pozostałej po sprzedaży mojej ojcowizny, oraz z kwoty, przekazanej nam przez wuja, opuszczaliśmy Lizard dyliżansem, udając się do Londynu szukać łask szczodrej Fortuny.

Tu dopiero zaczyna się druga część mojej historyi. Nie potrzebuję chyba wspominać o naszych pierwszych niepowodzeniach, bo w dalszym ciągu opowiadania znajdzie czytelnik ich rezultaty. Nie doznaliśmy łask Fortuny, lecz nabyliśmy nieco doświadczenia. Wprawdzie ani Tom, ani ja, nie przyznalibyśmy się za nic w świecie do rozczarowania, jakie nam sprawiło przekonanie się, że bruk wielkiego miasta, ułożony jest ze zwykłych kamieni, odpowiednio ociosanych, lecz nawet w najgorszej doli deptaliśmy ów bruk z godnością i szlachetną dumą, bez jakiejkolwiekbądź ujmy dla naszego honoru.

Co do ówczesnego stanu mojej duszy, należy się czytelnikowi pewne objaśnienie, zwłaszcza, że objaśni ono również do pewnego stopnia sens i znaczenie moralne całej opowieści, w której wypadki i zdarzenia prawdziwe, rzeczywiste, wiążą się w całość, wskazującą, że nam śmiertelnym, obciążonym dziedzicznie winami przodków, nie wolno odgrywać roli sędziów i mścicieli, sądzić bowiem i wymierzać sprawiedliwość może tylko Bóg jeden — nikt więcej!

Tragiczna śmierć moich rodziców wywarła na mnie piorunujące, a zarazem długotrwałe wrażenie. Od chwili ich zgonu nienawiść stała się moją nieodstępną towarzyszką. Z pewnym rodzajem rozkoszy pielęgnowałem ją w głębi serca; czułem, że owładnęła mojemi myślami; że stała się panią mojego jestestwa. Powtarzałem sobie ciągle, że żyję tylko na to, by pomścić śmierć ojca, że powinienem szukać Szymona Collivera, ująć go i zgładzić w jakiś okrutny sposób. Wznawiałem ciągle w pamięci scenę naszego spotkania na Skale Umarłego, przyciskając do piersi nóż, który ojca mego życia po-

zbawił. Śniła mi się nieustannie gonitwa za zbrodniarzem, w której ostatkiem sił pędziłem za nim, on zaś ciągle mi się wymykał, ciągle uciekał przede mną. W każdem zbiorowisku ludzi śledziłem, czyli nie dostrzegę jego twarzy, a w każdej zbiorowej wrzawie nadsłuchiwałem, czy nie posłyszę jego głosu, bo byłem pewny, że twarz i głos mego wroga poznam odrazu, choćby się skrył wśród stutysięcznego tłumu. Co wieczór biegłem na Oxford Street, sądząc, że woła mnie tam obowiązek. Co wieczór po kilka i kilkanaście razy przechodziłem wzdłuż i wszerz olbrzymie ulice, oświetlone gazem, nigdy, ani na moment nie utrudzony cierpliwemi poszukiwaniami. Upojony nienawiścią, żyłem ciągle jakby w piekle, nie myśląc o niczem, prócz zemsty.

Mieszkaliśmy z Tomaszem na poddaszu, o okienkach, posiadających bardzo brudne szyby, a dominującem nad mnóstwem małych uliczek, zbiegających się i łączących, niby strumienie w rzece, w głównej arteryi wielkomiejskiego ruchu. Umeblowanie naszej izdebki składało się z dwóch łóżek, stolika o trzech nogach, starej umywalni, lichtarza cynowego i paru krzesełek drewnianych. W chwili rozpoczynającego się dalszego ciągu mego opowiadania, w lichtarzu dogorywa świeczka drżącym i chwiejnym płomieniem, zegarek wskazuje godzinę dziesiątą wieczór, a kalendarz, przybity do ściany, dzień 9 marca 1863 roku. Tomasz siedzi na krzesełku i przerzuca kartki w olbrzymim rękopisie, spoczywającym na jego kolanach, ja zaś siedzę na łóżku, bliżej świecy i jak zwykle pochłonięty jestem cały przez nienawiść.

Nieżyczliwy los zadał nam w ostatnich czasach parę dotkliwych ciosów. Ubiliśmy się, jak zapewniał Tom, w sposób harmonizujący z naszem umeblowaniem. Żywiliśmy się lepiej, niż na to pozwalały nasze środki, lecz zato nie często. Jednakże, według zasady, wygłaszanej również przez Toma, żyliśmy w pospiechu nieustannym, bo w rzeczy samej nie widzieliśmy przed sobą żadnej perspektywy, któraby nam zapewnić mogła długie życie.

Słowem, chwila ówczesna nosiła na sobie wszystkie znamiona ostatecznego przesilenia.

Tom przestał czytać.

— Słyszałem — rzekł — że powodzenie ludzi zależne jest nieraz od nazwiska, jakie noszą. Widocznie imiona trzysylabowe do szczęśliwych nie należą. Dziś wieczorem przysłuchiwałem się pilnie głosom dzwonów. Nie wydzwoniły nic dobrego dla imioniska Loveday, a tem mniej jeszcze dla nazwiska Trenoweth.

Nic nie odpowiedziałem, pogrążony w smutnych dumaniach.

Tom, nie obrażony wcale mojem milczeniem, prawił dalej:

— W izbie rozpocząć się teraz powinna dyskusya nad budżetem.

— Skarb — odparłem — posiada w tej chwili szesnaście szylingów, oraz ośm pensów i pół.

— Po zapłaceniu dziś lokalu i otrzymaniu odpowiedniego pokwitowania.

— I otrzymaniu pokwitowania — powtórzyłem, jak echo.

— W rzeczy samej, gdy człowiek myśli o tem wszystkiem, położenie wywołuje pewne wrażenie. Ty, Kasprze, dziedzic Wielkiego Rubinu z Ceylonu, nie mówiąc już o wielu innych drobnych skarbach, nie zasługujących na wymienienie, możesz umrzeć z głodu na poddaszu. Ja zaś, Tomasz Loveday, autor tragedyi „Francesca", oraz innych arcydzieł, skatalogowanie których wymagałoby nieco trudu, mogę podzielić twój los z wszelką łatwością. Położenie zatem musi wywoływać pewne wrażenie, na co, kochany Kasprze, zgodzisz się niezawodnie.

— Co ci powiedział dyrektor o twojej tragedyi? — zapytałem.

— Tyle właśnie, ile potrzebowałem, aby zrozumieć, że nawet nie rzucił na nią okiem. Zajęty był widocznie moim strojem, chociaż, gdy się do niego wybierałem, wyraziliśmy oba głębsze spostrzeżenie, że twoje spodnie zrobione są, jakby ulał, na mnie. Jest to najpiękniejszy okaz naszej wspólnej garderoby, a jednak, Kasprze, idąc ulicą, myślałem sobie, że nie płaszcz zdobi człowieka, tylko spodnie. Co do obuwia, szachujemy się wzajemnie. Jeśli twoje kamaszki dosięgają już poziomu, na jaki moje się wzniosły, przypuszczam, że przechadzki, odbywane przez ciebie codziennie po Oxford Street, staną się wkrótce niemożliwe.

Milczałem.

— Nie przypominam sobie z dziejów ani jednego faktu, aby dzielny człowiek z powodu braku obuwia pozbawiony został możności dokonania mądrze uplanowanej zemsty. No, no! kochany Kasprze, odwagi! — ciągnął dalej, powstawszy z krzesła i kładąc mi rękę na ramieniu. — byliśmy głupcami i za głupstwa zapłaciliśmy drogo. Zdawało ci się, że wroga swego znajdziesz w Londynie i z przykrością przekonałeś się, że skrytka, jak na jednego zbrodniarza, jest nieco za obszerna. Mnie znowu zdawało się, że mam talent i mogę stworzyć arcydzieło, tymczasem widzę, że tak nie jest. Szesnaście szylingów, oraz ośm pensów i pół, nawet przy najściślejszej oszczędności nie wystarczy nam na trzy lata.

Powstałem z łóżka.

— Przejdę się raz jeszcze po Oxford Street — rzekłem — a jak powrócę, skończę z tą nędzną tragikomedyą, jaką jest życie ludzkie!

— Nie pleć głupstw, Kasprze! Chciej mi wierzyć, że nie jest łatwo zginąć z godnością, gdy się rozporządza nosigroszem, zawierającym tylko szesnaście szylingów, oraz ośm pensów i pół, bo te nieparzyste pensy psują cały efekt najbardziej nawet bohaterskiego samobójstwa. Lecz możemy je ofiarować mniej od nas wysubtelnionemu w uczuciach żebrakowi, poczem odzyskamy wrodzoną nam dumę i spokój.

— Tom! — zawołałem, wstrząśnięty myślą, która nagle błysnęła mi w głowie — wszakże przegrałeś niegdyś sporą kupkę pieniędzy w ruletę?

— Nie przypominaj mi tego, Kasprze!

— Powiedz mi tylko, gdzie je przegrałeś?

— W piekiełku, położonem przy Leicester Square. Dlaczego o to pytasz?

— Czy poznałbyś miejsce, w którem znajduje się to piekiełko? Czy mógłbyś je znaleźć?

— Bardzo łatwo.

— Więc pójdźmy tam i spróbójmy szczęścia, grając mizerną sumką, jaką jeszcze posiadamy.

— Nie bądź-że głupim, Kasprze! Skąd tak idyotyczny pomysł przyszedł ci do głowy?

— Nie korzystałem dotąd wcale z przyjemności życia — odparłem — mam zatem prawo, zanim je skończę, zafundować sobie nieco silnych wrażeń. Nie ulega wątpliwości, że kwota, którą rozporządzamy, jest nazbyt mała, lecz kto wie, czy pewność, że gramy o śmierć lub życie, nie wywoła pomyślnej w losie naszym odmiany? Chodź-ny zaraz!

— Ależ to jest szaleństwo!

— Więc podzielmy się pieniądzmi po równej części. Przedstawi to pewną trudność ze względu na pół pensa, lecz mniejsza o to! Zrzekam się go na twoją korzyść. Ty możesz schować swoją połowę, a ja z moją spróbóję szczęścia.

— Kasper — rzekł Tom ze łzami w oczach — wyraziłeś się w sposób okrutny i mnie ubliżający, lecz przebaczam ci, bo wiem, że nie myślałeś tego, co ci się z ust wyrwało. Lecz, jeśli zdecydowany jesteś stanowczo popełnić szaleństwo, to zginiemy albo zwyciężymy razem.

— Więc zginiemy, albo zwyciężymy razem, bo traktuję rzecz zupełnie seryo. Sześć szylingów, oraz ośm pensów i pół proponuję wydać na naszą wieczerzę, po której mieć będziemy więcej sił i odwagi spojrzeć śmiało Fortunie w oczy. Czy zgoda?

— Zgadzam się — odpowiedział Tom smutnym tonem.

Włożyliśmy na głowy kapelusze, zgasiliśmy świeczkę i zbiegliśmy żwawo ze schodów, poczem, wysunąwszy się na ulicę, pogrążyliśmy się w cieniach nocy.

W jednej z licznych restauracyi Strandu zasiedliśmy do kolacyi.

Nie pomnę w życiu mojem weselszej biesiady, właśnie może dlatego, że mieliśmy powód przypuszczać, iż będzie ostatnią. Ta myśl nawet obudziła we mnie pewien rodzaj niezwykłego mi junactwa, nadającego szczególnie zabawny odcień memu humorowi. Wkrótce i Tom zaraził się nim odemnie, więc śmialiśmy się i żartowali oba niemal nieustanie.

Wieczerza nie była w całem znaczeniu tego wyrazu wytworna, lecz w porównaniu z temi, które w ostatnich czasach jadaliśmy najczęściej, wydała się książęcą. Mocne piwo, do którego nie byliśmy przyzwyczajeni, rozwiązało nam języki w taki sposób, że wesołość nasza zaczęła dziwić siedzących przy innych stołach biesiadników. Usługujący nam kelner przyszedł wkońcu oznajmić, że nadeszła godzina, o której zakład bywa zamykany.

Tom zażądał rachunku, a widząc, że wynosi po dwa i pół szylinga od osoby, kazał sobie podać jeszcze dwa cygara po pół szylinga jedno, ośm zaś i pół pensa dał kelnerowi, zapewniając go przytem, że to nasza ostatnia kolacya, jaką spożyliśmy na ziemi. Co powiedziawszy, z najpoważniejszą miną, na jaką mógł się zdobyć, zwrócił mi dziesięć szylingów i powstał z miejsca. Wyszliśmy razem już dobrze po północy.

Dzielnica Leicester Square, znacznie dziś zmieniona, nie ma obecnie cech charakterystycznych, jakie posiadała niegdyś, w czasach mego opowiadania. Była wtedy gorzej zabudowana, nocami dla przechodniów niebezpieczna, zamieszkana przeważnie przez cudzoziemców. Idąc ciasnymi zaułkami bez liku i mnóstwem brudnych uliczek, sądziłem, że chyba Tom zbłądził, zapomniawszy drogi. Wkońcu jednak skręciliśmy w jakiś ciemny kąt, słabo oświecony jedną tylko latarnią gazową i zastukaliśmy do niskich drzwi. Rozwarły się natychmiast, my zaś skierowaliśmy kroki ku drugim, przeciwległym. Tu Tom silnie zapukał trzy razy w sposób widocznie umówiony, a z wnętrza głos jakiś krzyknął:

— Proszę wejść!

— Drzwi, w kształcie ruchomej przegrody, rozsunęły się przed nami, a fala światła uderzyła nas w oczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).



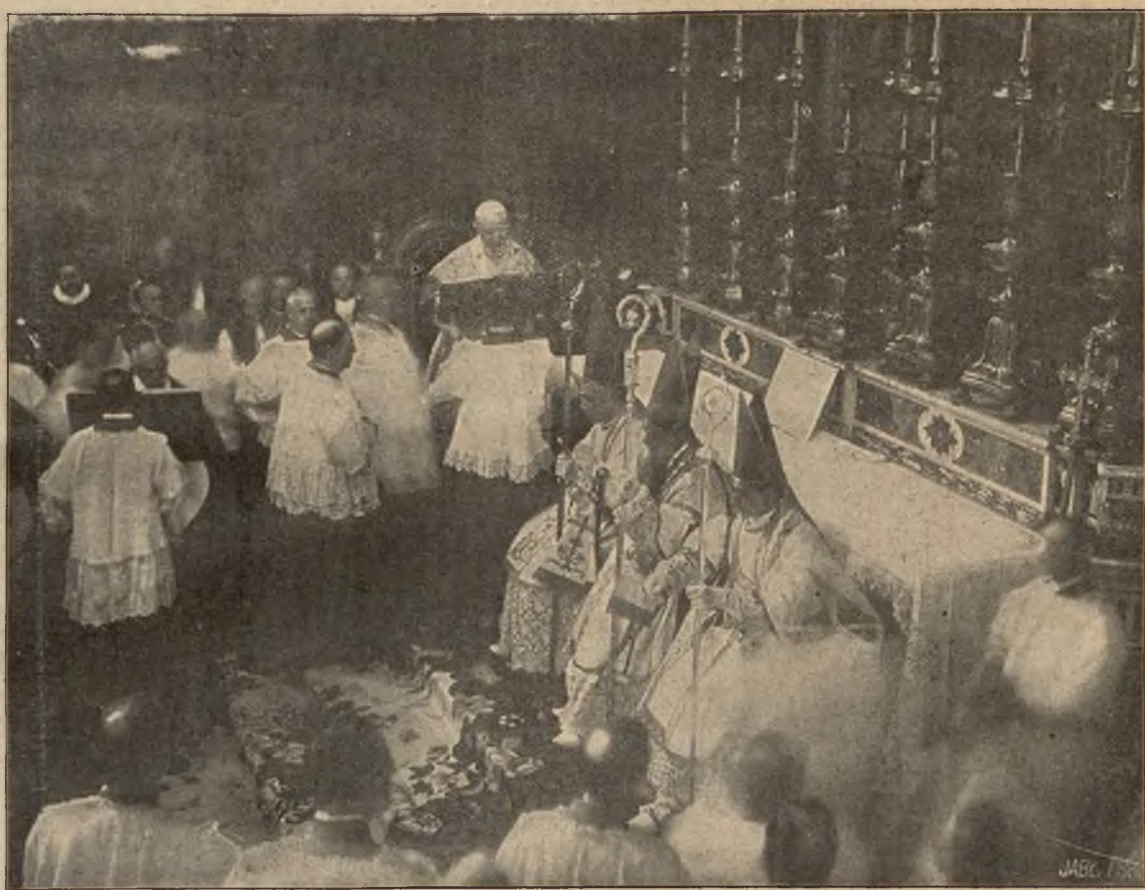
— Wuj mój nie żył...

Konsekracya księcia-biskupa krakowskiego.

Z niezwykłą okazałością odbyła się w d. 17 grudnia uroczystość konsekrakcyi księcia biskupa krakowskiego, Adama Sapiehy. Ceremonii wyświęcenia dopełnił sam Ojciec św., składając tem świadectwo wysokiego poważania dla osoby nowego dostojnika kościoła i sympatyi dla episkopatu polskiego.

Już o godz. 8 mej rano kaplica Sykstyńska zaczęła się zapełniać doborową publicznością. Zjawiło się około 20 biskupów, a wśród nich arcybiskupi Simon i Theodorowicz, ks. metropolita Szeptycki, księża biskupi Nowak i Żarnowiecki, wielka liczba duchowieństwa, deputacye krakowskie oraz wiele przebywających w Rzymie pań i panów polskich. W lozy po prawej stronie zajęły miejsca siostry i siostrzenica Papieża, a w pierwszych siedzeniach, oprócz rodzin nowych biskupów, przedstawiciele ciała dyplomatycznego.

O godz. 9 tej rozległ się śpiew choru kaplicy Sykstyńskiej, który pod batutą ks. Perosiego wykonał pieśń powitalną „Tu es Petrus". W drzwiach kaplicy ukazują się halabardziści papiescy, za nimi służba i dwór papieski, wreszcie poprzedzony przez kardynałów wszedł Ojciec św. Po krótkiej modlitwie u stóp ołtarza zasiadł na tronie, poczem rozpoczęła się skomplikowana ceremonia ubierania Papieża w szaty pontyfikalne. Potem Ojciec św. podszedł do ołtarza, gdzie uroczystość rozpoczęła się „wyznaniem wiary", które przed Papieżem złożyli po kolei: kardynał Kajetan de Lai,



Konsekracya księcia-biskupa krakowskiego: Ojciec św. Pius X. udzielający konsekracyi biskupowi krakowskiemu ks. Adamowi Sapiesze.

mający otrzymać konsekracyę na biskupa Sabińskiej dyecezyi, ks. Adam Sapieha i monsignor Armand Sabadel, kapucyn, tytularny biskup Koryntu.

Zaraz potem rozpoczęła się msza papieska, podczas której odbywała się ceremonia konsekracyi nominatów. W czasie mszy św., która trwała przeszło 2 godziny, nowokonsekrowani otrzymali z rąk Ojca św. pierścienie biskupie, a książę biskup Sapieha w dowód szczególniejszej łaski otrzymał jeszcze od Ojca św. piękny, kamieniami wysadzany krzyż biskupi. Papież intonuje *Veni Creator*, a potem litanię do Wszystkich Świętych. Przed ołtarzem wre ruch, wśród kłębów kadzidła mienią się złotem infuły i pastorały, fioletowe ornaty i koronkowe komeszki.

Pius X. wkłada wreszcie na głowy konsekrowanych złote infuły, wręcza im pastorały i śpiewa „Te Deum". Nowowyświęceni biskupi obchodzą kaplicę, udzielając zgromadzonym po raz pierwszy biskupiego błogosławieństwa, następnie siadają rzędem przed samym ołtarzem, twarzą zwróceni do uczestników tej podniosłej uroczystości. Ojciec św. po udzieleniu błogosławieństwa zasiadł na chwilę na tronie, gdzie zdjęto zeń szaty pontyfikalne.

Ceremonia skończona. Pius X. poprzedzony przez kardynałów, nowokonsekrowanych biskupów i cały swój orszak, opuszcza kaplicę Sykstyńską, udając się do swych apartamentów, gdzie udzielił posłuchań.



Konsekracya księcia-biskupa krakowskiego: Siedzą w pierwszym rzędzie od strony lewej ku prawej: X. prałat Chotkowski, radca m. poseł Jan Kanty Fedorowicz, Eksc. hr. Antoni Wodzicki, wiceprez. m. Krakowa dr Henryk Szarski, **książę biskup Adam Sapieha**, wikaryusz kapit. biskup Nowak, książę Paweł Sapieha (brat biskupa) Hieronim hr. Tarnowski. Stoją: hr. Dzieduszycki i Ludwik Zeleński. W drugim rzędzie stoją: drugi z rzędu, X. prałat Potulicki, X. prałat Skirmunt, pos. sejm. Dr Ernest Bandrowski, X. Błonarowicz, prof. W. Stroka, X. prałat dr. Czesław Wądolny, prof. Julian Nowak, X. Rychlak, r. m. August Porębski, X. Podwin i X. Frelek. W trzecim (najwyższym) rzędzie znajdują się kapłani, bawiący na studyach w Rzymie i członkowie ekspedycyi nauk. Akademii Umiej. z Krakowa.

Kronika tygodniowa.

Nasza poczciwa staruszka, ziemia, obróci się z trudem jeszcze kilka razy około swej osi, a rok Pański 1911 przejdzie do historyi, aby zrobić miejsce swemu następcy.

Rok 1912 będzie najprawdopodobniej zupełnie podobny do swego ś. p. kolegi, zwłaszcza, że jako przestępny i o jeden dzień dłuższy przysporzy nam nawet więcej kłopotów. Co gorsze, kabaliści wróżą, że będzie on rokiem feralnym, suma bowiem cyfr jego $1+9+1+2=13$! A trzynastka to pechowna liczba, jak się o tem mógł przekonać każdy, kto n. p. dnia trzynastego wstąpił w związki małżeńskie lub starał się o pożyczkę. Pierwszego z pewnością żałuje do dnia dzisiejszego, drugie niezawodnie także się nie powiodło.

Nie przesądzajmy jednak wypadków! O roku 1912 będziemy mieli sposobność rozmyślać przez 366 dni, dziś należy poświęcić kilka słów żałobnego wspomnienia nieboszczykowi.

Wprawdzie przysłowie powiada *de mortuis nihil, nisi bene*, wobec czego wypadałoby przejść nad nim do porządku dziennego, gdyż karta jego *plusów* jest prawie zupełnie czysta, a *minusami* dał nam się tak we znaki, że długo go będziemy pamiętać, no i złorzeczyć na samo jego wspomnienie. Był to bowiem rok dalszego rozszerzania się Wielkiego Krakowa, a gwałtownego kurczenia się naszych żołądków, które znalazły się w tem miłem położeniu, że powoli zaczęły się odzwyczajać od jedzenia. Nie wiele brakowało, a bylibyśmy się wszyscy przerobili na jaroszów, niestety i na to nie każdy mógł sobie pozwolić, podrożało wszystko, a kasztany i szyszki nie obrodziły.

Rok ten zostawał pod panowaniem Marsa i Bellony. Zbrojny pokój europejski utrzymał się wprawdzie jako tako w równowadze, nie dlatego przecież, jakoby brakowało Europie animuszu wojennego, tylko właśnie z powodu owych ciężkich czasów, na które narzekały nie tylko poszczególne osobniki, ale i całe państwa, a wiadomo, że do prowadzenia wojny potrzeba tylko pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

Zanosiło się głównie na wybuch zbrojnego starcia pomiędzy Francyą a Niemcami, powodem była sprawa marokkańska. Niemcy pobrzękiwali groźnie szabelką, gallijski kogut piał bardzo wojowniczo, przyszła jednak w sam czas refleksya i spór załatwiono pokojowo, choć gniewał się o to syn cesarza Wilhelma, za co dostał od swojego papy zasłużoną admonicyę i musiał przeprosić Bethmanna-Hollwega.

Ledwie to ucichło, Włochom zachciało się trypolitańskich daktyli, nie pytając się więc sułtana o zgodę, postanowili po przyjacielsku podzielić się terytoryum tureckiem i dzielne swe zastępy wysłali do Afryki, uprzedziwszy się przedtem, że Europa zgodzi się na to. Państwa europejskie dotrzymały też przyjacielskiej neutralności, choć znowu o mało co nie przyszło do wojny pomiędzy Austryą i Włochami. Włosi przesunęli ku granicy austryackiej znaczne siły zbrojne, postanowiła skorzystać z tego tak zwana partya wojenna i wezwać ich, by cofnęli te zarządzenia, gdyby zaś nie chcieli się zgodzić, wypowiedzieć im wojnę.

Przy tej sposobności starły się ze sobą austryacka dyplomacya i sfery wojskowe, które chciały mieszać się do polityki zagranicznej monarchii, a ofiarą padł szef jeneralnego sztabu Conrad Hötzendorf, który znów niedawno przedtem „utrącił“ wspólnego ministra wojny, jenerała Schönaicha.

Aehrenthal wyszedł na razie jako tryumfator, przepowiadają jednak, że bezpośrednio po ukończeniu sesyi delegacyjnej i on powiększy liczbę emerytów ministeryalnych, gdyż głównie cesarz Wilhelm jest z niego niezadowolony. Ostatecznym epilogiem będzie rozbicie się trójprzymierza, z którego wypędzą Włochów, jako sprawiających sprzymierzeńcom tylko kłopoty, co zaś najważniejsze, jako nie dających gwarancyi, że dotrzymają zaprzysiężonego sojuszu. W tym wypadku miejsce trójprzymierza zajęłoby trójcesarskie porozumienie, zapewniające Europie długotrwały pokój.

Szczęk oręża dochodzi natomiast także i z Azyi. W Chinach wybuchła gwałtowna rewolucya, skierowana przeciw rządom Mandżurów; w Persyi były szach, Mahomet Ali, chciałby napowrót zasiąść na tronie swych ojców, z którego go nie tak dawno niegościnnie przepędzono. I z jednej i z drugiej afery skorzystają tylko sąsiedzi, którzy po przyjacielsku mają ochotę podzielić się chińskiem i perskiem terytoryum.

I w Ameryce było dość głośno, tamtejsze jednak sprawy nie wywierają wpływu na politykę mocarstw europejskich, wobec czego stosunkowo mało się niemi zajmowano.

Jak na jeden rok i to do tego rok zwykły, mający tylko trzysta sześćdziesiąt pięć dni, było więc dość emocyi wojennych, część z nich przenosi się także i na rachunek przyszłego roku, zwłaszcza zaś zatarg włosko turecki, o którym nie można wiedzieć, jak się skończy i fermentacyę w Persyi i w Chinach. Na razie wyszli na tem dobrze tylko chińscy golibrodzi, gdyż reformy w „państwie środka“ rozpoczęto od obcinania warkoczów, by stać się podobniejszymi do europejskich sufrażystek, które, jak rok długi, zajmowały także całą opinię publiczną. Zwłaszcza angielskie panie okazały sporą dozę wojowniczości, której ślady dotąd jeszcze noszą na swych twarzach i rękach nawet tamtejsi ministrowie.

U nas kwestya kobieca od czasu do czasu zajmuje uwagę społeczeństwa, nasze panie nie posiadają jednak tego temperamentu, co ich angielskie koleżanki i ograniczają się tylko do „pokojowych przedstawień“, że i im należy się udział w rządach gminy, kraju i państwa.

Nie widzę w tem zresztą nic dziwnego, są to przeważnie leciwe niewiasty, często o bardzo poważnej tuszy, jako więc takie nie mające odpowiednich warunków na prawdziwe Amazonki.

Sprawy wewnętrzne naszej c. k. ojczyzny w roku 1911 uległy też różnym wahaniom. I tutaj można było spostrzedz stosunkowo wielką dozę wojowniczości. Gabinet Bienertha, któremu na Nowy Rok składaliśmy życzenia zdrowia i pomyślności, rozsypał się jednak bardzo prędko, miejsce jego zajął „mąż opatrznościowy“ baron Gautsch i ten jednak nie miał wiele szczęścia, gdyż musiał zrezygnować z niewygodnego fotelu prezydyalnego na rzecz hrabiego Stürgkha, który, jak dotąd, trzyma się jakoś dość silnie, w każdym zaś razie przetrwa Nowy Rok i będzie mógł z dniem 31 grudnia złożyć życzenia dr. Sylwestrowi, który w on dzień powinien obchodzić swe imieniny.

Przy sposobności zmiany umeblowania gabinetów zmieniliśmy i ministrów, obecnie interesy galicyjskie zastępują we Wiedniu: minister skarbu Zaleski i minister rodak Długosz, pierwszy ludowiec, któremu bardzo jest do twarzy we fraku ministeryalnym. Na to ostatnie stanowisko miało wielu innych apetyt, pan Stapiński postawił jednak na swojem, czem odwdzięczył się swemu przyjacielowi i protektorowi.

Wogóle ludowcy wzrośli ogromnie w potęgę, wiele jej zaś utraciła narodowa demokracya, z którą prowadził zawziętą walkę namiestnik, ekscellencya Bobrzyński.

Okazało się to podczas wyborów do parlamentu. Rządowymi kandydatami byli niejednokrotnie nawet socyaliści lub skrajni radykali, jeśli tylko kontrkandydatem był narodowy demokrata; jak na zawołanie wybuchała zaraz pryszczyca i inne straszliwe zarazy, tak, że nawet raz i drugi przypuszczano, czy to nie są przypadkiem zwiastuny zbliżającego się końca świata, który bardzo łatwo mógłby przypaść na rok 1912, jako feralny.

Końca świata jednakowoż tak prędko spodziewać się nie należy, gdyż bardzo wątpię, by w austryackiej Radzie państwa utworzyła się rządowa większość, która by go chciała uchwalić, także i krakowska Rada miejska nie zgodzi się na to przed definitywnem rozszerzeniem granic Krakusowego grodu, to jest przed włączeniem Podgórza.

Natomiast pewnem jest, że narodowi demokraci w mniejszej liczbie, niż poprzednio, weszli w skład parlamentu, ale też w podzięce za to „moralne“ poparcie ze strony pana namiestnika, wypowiedzieli mu wojnę na śmierć i życie i dość serdecznej krwi mu zepsuli przez rok cały. Wogóle i oni byli bardzo wojowniczo usposobieni, dlatego nic dziwnego, że nie brali udziału w owych modnych teraz we Wiedniu ucztach miłości, jakie urządzają nasi wielcy politycy. Ongiś urządzał nad Dunajem poseł Kozłowski polityczne herbatki, obecnie przyszły na porządek dzienny obiady z szampanem i toastami, w których posłowie nawzajem się chwalą i przekonani są, że to wszystko prawda, co mówią.

Ogólnie twierdzono, że Biliński zaprzepaści nam kanały, tymczasem stała się rzecz zupełnie przeciwna, gdyż sprawą tą zajęli się posłowie wiedeńscy, dotąd zdeklarowani jej wrogowie i oświadczyli, że kanały być muszą, a z nimi rząd się przecież liczy. Wobec tego rozpisano co prędzej licytacyę na objęcie w przedsiębiorstwo robót i już w dniu 27 grudnia rozpoczęto uroczyście roboty, jak zwyczaj każe, inauguracyjną bibką.

O kanały możemy więc być spokojni, nie utopi się w nich ani Rząd, ani prezes Koła polskiego. Wystarczy, że coś zrobiono, na resztę będzie można poczekać.

Pozatem drugą ważną kwestyą, którą roztrząsano przez cały prawie rok 1911 w parlamencie wiedeńskim, była drożyzna i środki zaradcze przeciw niej. Próby z mięsem argentyńskiem, sprowadzonem do Austyi w tak minimalnej ilości, że nie wypadło nawet po pół funta na głowę, nie powiodły się, dla jednych było ono za tłuste, dla drugich zbyt podejrzane, gdyż w Argentynie niema tak mądrych weterynarzy, jak n. p. w Austryi. Kto więc wie, czy z tem mięsem nie dostaną się do nas jakieś egzotyczne bakcyle, które, Bóg wie, jakie mogą c. k. lojalnym obywatelom wyrządzić szkody, jeśli nie cielesne, to duchowe. Zresztą Węgrzy założyli „veto“, a wiadomo, że we Wiedniu tak tańczą, jak zagra Berlin lub zaśwista Budapeszt. Jedynym ratunkiem było otwarcie granic dla zboża i bydła, niestety, sprzeciwili się temu nasi agraryusze, tak wielcy, jak i mali.

Ponieważ w rzeczywistości najbardziej upośledzoną w Austryi jest klasa urzędnicza, reformę drożyźnianą rozpoczęto od regulacyi jej płac i zaprowadzenia pragmatyki służbowej, co bodaj jako tako ułatwiłoby egzystencyę tych prawdziwych białych murzynów. Niestety, jak zwykle, cała akcya postępowała żółwim krokiem, urzędnicy 2 stycznia otrzymają dodatek drożyźniany, ale tak wielki, że nie wystarczy na zaspokojenie najprymitywniejszych potrzeb. Wypłaci się go jednorazowo za sześć miesięcy w wysokości od 50 koron do 130!

Na tem jednak nie koniec! Rząd powiada: Bardzo chętnie podwyższyłem płace, ale skąd ja na to wezmę pieniędzy? Musicie mi zawotować nowe podatki, podwyższenie taryf kolejowych i t. d.

I tak idzie „w koło Macieju“. Pensye podwyższone, w ślad za nimi i wyższe podatki, potem ogólne podrożenie wszystkich artykułów i znów pokazuje się, że w stosunku do wymagań czasu płace są stanowczo za nizkie i trzeba je znowu podwyższyć.

Jak więc widać z tego rok Pański 1911 nie był pozbawionym wszędzie wojowniczości, a choćby tylko energicznego napięcia, które czekało tylko na wyładowanie.

Oby następca nie wszedł w jego ślady!

Wznowienie „Quo vadis" na scenie warszawskiej.

(Do illustracyi na str. 4).

Dzięki gościnnym występom ulubieńca publiczności warszawskiej, barytonisty Battistiniego, wznowiono w Warszawie piękną operę Nougesa „Quo Vadis", osnutej na tle arcydzieła sienkiewiczowskiego. Pan Battistini, który pomimo, iż przekroczył już sześćdziesiątkę, posiada młodzieńczą świeżość głosu, wystąpił jako „magister elegantiarum" Petroniusz. Wspaniała poza Battistiniego oraz dystynkcya jego gry ujawniły się znakomicie w scenie z małżonką Nerona Poppeją, której partyę wykonała obdarzona pięknym i dźwięcznym głosem śpiewaczka pani Jadwiga Lewicka. Wspaniała jej postać obok Battistiniego, tworzyły na scenie stylowy i pociągający obraz.

Z walk w Trypolisie.

(Do illustracyi na str. 4 i 9).

Sytuacya na terenie walki w Afryce nie zmieniła się wcale w ostatnich dniach. Wybrzeże pozostaje nadal w ręku Włochów, wnętrze kraju jest w posiadaniu zjednoczonych sił turecko-arabskich. Włosi o tyle tylko mogą liczyć na powodzenie, o ile operacye wojenne armii lądowej mogą być poparte akcyą floty, a o to dziś trudno, gdyż w tym czasie morze jest silnie wzburzone.

Pochód w głąb pustyni nastręcza bardzo wiele trudności. Pomijając już to, że głęboki a sypki piasek utrudnia posuwanie się naprzód, można twierdzić prawie stanowczo, że za każdą palmą, za każdem wzniesiem, czyha zasadzka, grożąca śmiercią najezdnikom.

Po morderczych walkach w Ain-Zara przyszła kolej na Benghazi i Dernę, we wszystkich tych miescowościach obie walczące strony złożyły obfity podatek krwi i zasłały pole walki zwłokami poległych.

Największe okno na świecie.

(Do illustracyi na str. 8).

Ameryka jest ojczyzną olbrzymów. Wszystko ma tam gigantyczne rozmiary: i budowle... i katastrofy. Wynalazkiem amerykańskim są też t. zw. „drapacze nieba", olbrzymie domy, liczące po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt pięter. Te wieże inie szkalne, zapełnione mrowiem ludzkiem, żyjącem w wiecznej gorączce, nadają miastom amerykańskim osobliwy, lecz niezbyt estetyczny wygląd. Ale praktyczny Amerykanom nie o estetykę chodzi, lecz przedewszystkiem o interes, o jak najintenzywniejsze wyzyskanie postępów techniki dla celów praktycznych. To też w Ameryce olbrzymimi rozmiarami króluą zwłaszcza przedsiębiorstwa przemysłowe i fabryczne, w których wszystko ma rozmiary... amerykańskie... Na illustracyi naszej widzimy właśnie okno, przeznaczone dla jednej z fabryk w mieście Lincoln w stanie Nebraska. Jest ono wysokie na 19 a szerokie na 18 stóp. Ludzie, zaczepieni na tej ramie okiennej, wyglądają jak małe laleczki... Jest to też niewątpliwie największe okno na świecie...

W sprawie naszej Wielkiej Szarady!

Zwracamy uwagę P. T. Prenumeratorów nadsyłających rozwiązania, że tylko te rozwiązania mogą być przy losowaniu uwzględnione, **które będą wystawione na odnośnym kuponie, umieszczonym w numerze gwiazdkowym.**

Rozwiązania nadesłane drogą telegraficzną są wobec tego nieważne.

Nowe wyrazy, utworzone z jedenastu podanych liter, należy **nadsyłać równocześnie z rozwiązaniem.**

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. O. Zacharyszyn, Turylcze: Adres redakcyi *Bociana:* Kraków, ul Nowowiejska L 83.

WP. J. Badura, Rożdzień: Opóźnienie rozpoczęcia druku „Wygnańców" nie pochodzi z naszej winy, lecz z powodu słabości autora, który nie mógł jej dostarczyć na czas.

WP. K. Szumańska Rawa Ruska: Widocznie premia ważyła więcej; 35 hal otrzymaliśmy. Nie pomieszczono nazwiska WPani pomiędzy odgadującymi przez pomyłkę, za co przepraszamy.

Anonimowi: Dziwią nas Pańskie uwagi. Poszły do kosza.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 50.

Bilety wizytowe: Namiestnik. Komisarz. Generał major.

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Szarada: Napoleon.

Zadanie do przestawienia: Trafiła kosa na kamień.

Szarada: Kalendarze.

Krzyż magiczny:

K N Z
r i :
a e e
s w l
C h ę c i ń s k i
ń a ń
s d s
k o k
i m i
s
k
a

Łamigłówka: Gruszecki-Marjawita.

Gawlikowska
Tetmajer
Ujejski
Wells
Zapolska
Jenike
Cooper
Asnyk
Ingram

Logogryf:

K
K o t
W i s ł a
W i a t r a k
P o r t r e c i k
K o s t r z e w s k i
K o b i e r z e c
M a l w i n a
P o s e ł
O k o
l

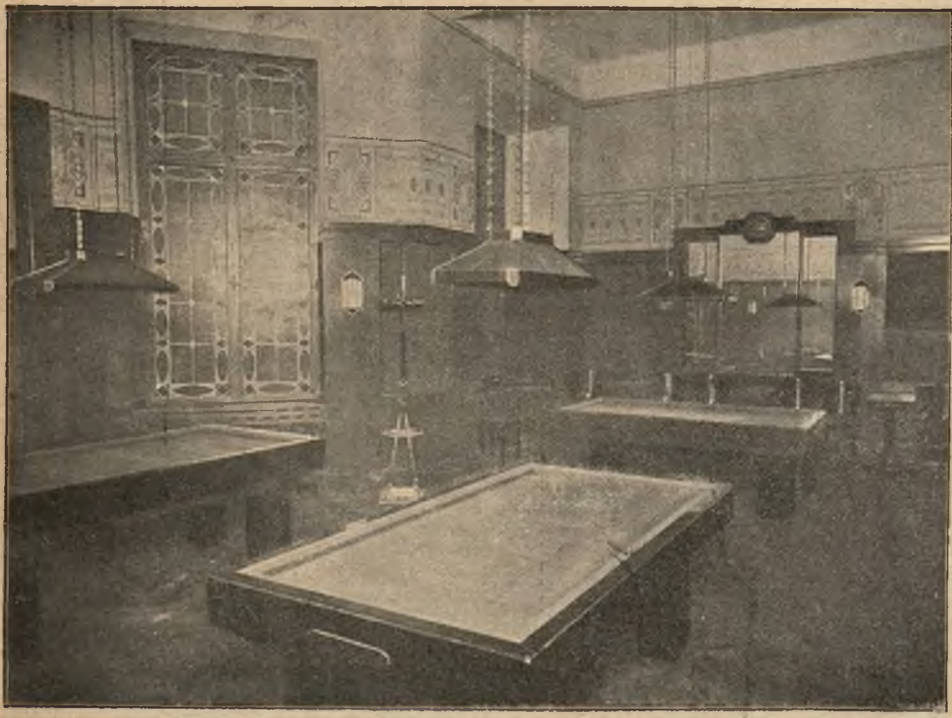
Rebus: Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Śledzińska Kołomyja, J. Obst Warszawa, H Pick Łódź. K Tomaszewski Jasło, M. Więckowska Krosno, J. Gawalewicz Stanisławów, K Osuchowski Warszawa, S Radomski Lwów, J. Kalinowski Piotrków, J. Lipski Kraków, D Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, J Roland Kielce, J Bartoszewicz Kraków, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, M Pianecka Kraków, F Gebhardt Kraków, A. Dużak Kraków, A. Siatka Kraków, K. Kaim Kraków, S Kowalówka Facimiech, J Łopatkiewicz Rzeszów, D Łopatyński Lwów, K. Radoszewski Jasło, K. Ciesielski Warszawa, J Leicht Kołomyja, J. Wysoczański Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, H. Kwaśniewski Jasło, W Bandrowski Jasło, K. Świrski Częstochowa, W. Ostrowski Piotrków, W Potocka Kraków, K Armatys Kołomyja, J Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, M. Trojacka Lwów, D Rosenbaum Rzeszów, M Krawecki Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Bräteifeind Kołomyja, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H Bukowska Winnica, J Maciejowska Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, S Chełmecki Wilno, W. Thun Kalisz, R Zenowicz Petersburg, J Trepka Sandomierz, K. Mazaraki Sambor, B Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, M Klappholz Rzeszów, H. Lindenbaum Jasło, M Zamojski Lublin, H Mróz Janów, M Raszka Cieszyn, B. Sługocki Lwów, J. Zachara Mielec, K Wyka Tarnów, H. Halski Jarosław, R Kinalski Kolbuszowa, J Scholz Przemyśl, S Linderski Jaworów, J Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F Horak Oświęcim, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J Jabłoński Lwów, H Radomska Kraków, M. Münz Stryj, S. Medyński Zakopane S. Wysoczański Poznań, S Karwowski Gniezno, R Rogozińska Kijów, H Wolańska Dąbrowa, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, H Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, T Trąbczyński Przemyśl, K. Ohrenstein Podgórze, Z Zachorska Nowy Sącz, H Limanowski Warszawa, R Gawiński Kraków, M. Kunz Czerniowce, K Reichenberg Cieszyn, M Rawska Głogów, J Kruszelnicki Lwów, D. Zawadzki Jasło, Z. Serwański Czerniowce, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C Wang Tarnobrzeg, D Engelberg Rzeszów, J Artosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K Giżyńska Kijów, H Gliński Kołomyja, D. Gross Sanok, J. Pawłowski Petersburg, M Świtalski Rzeszów, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów, D. Schwadron Kraków, H. Zegartowska Bogucice, W Kownacki Poznań, H. Mazurkiewicz Lwów, M. Cichocki Brzeżany, S Krzyżanowski Podgórze, S Karczmarski Poddębie, M Arbeshauer Lwów, K. Szumańska Rawa, A Lorencki Warszawa, K Fuchs Czeremchów. M. Ołeksiukowa Holeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p **Z. Serwański Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kawiarnia Teatralna.

Onegdaj otwarto w Krakowie nową „Kawiarnię Teatralną“. Wszystkie wielkie miasta mają teatralne kawiarnie; są to lokale pierwszorzędne, gromadzące artystyczne i literackie koła, oraz liczną publiczność zarówno miejscową, jako też i przyjezdną. — Nowa kawiarnia odpowiada najzupełniej wymaganiom, jakie publiczność stosuje do podobnych zakładów. Zajmuje przedewszystkiem w nowym, umyślnie przygotowanym i zaprojektowanym przez zaszczytnie znanego w naszem mieście architekta, Hoffmanna, lokalu, olbrzymią salę w stylu renesansowym, pojemności ponad 400 m. sześciennych. Ogromne okna wychodzą na front gmachu teatralnego i na najpiękniejszą przestrzeń plantacyi krakowskich. Szyby okienne będą w lecie spuszczane do poziomu chodnika zapomocą osobnego mechanizmu tak, że publiczność będzie się znajdowała w letniej kawiarni na otwartem powietrzu, nie narażona na deszcz lub zmiany pogody. W sali kawiarnianej znajduje się sześć lóż i bufet; meble są w stylu biedermajerowskim.



Sala bilardowa.

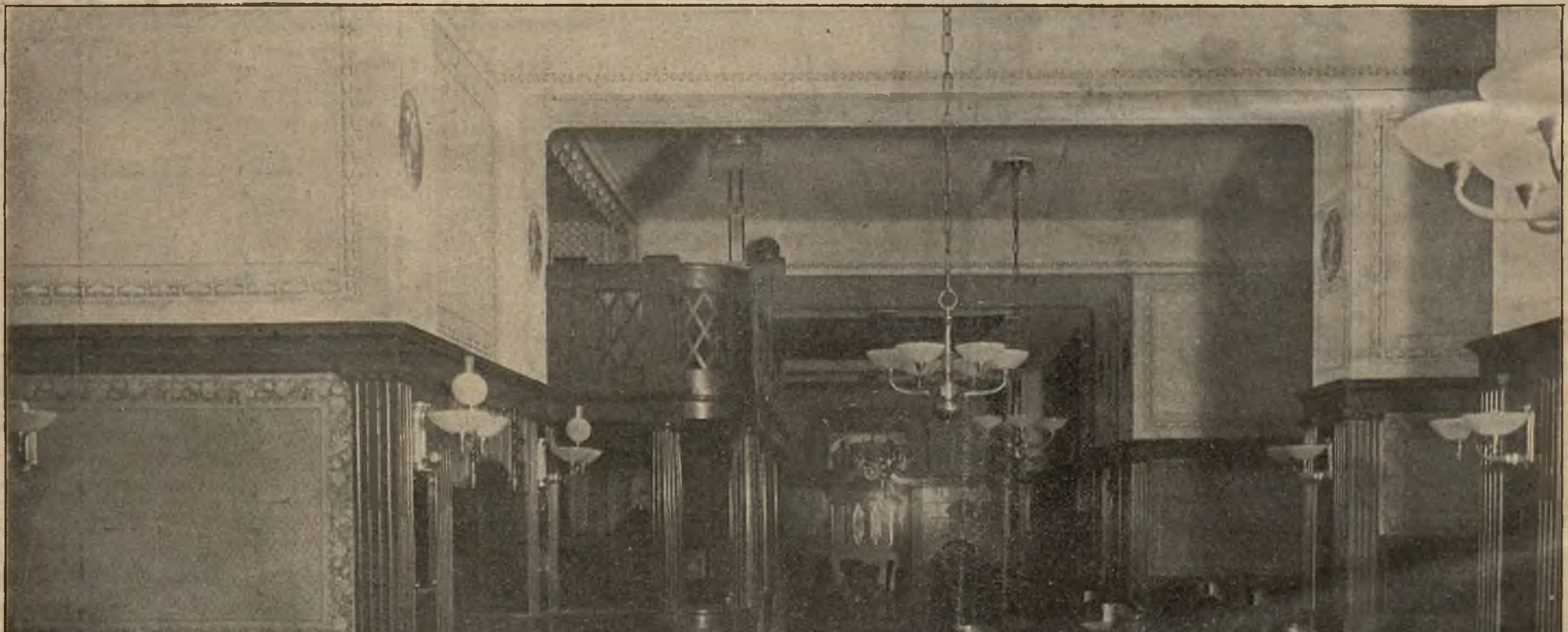


Wnętrze baru.

Szczęśliwym i bardzo wygodnym dla publiczności należy nazwać pomysł połączenia kawiarni z barem, w głębi którego znajdują się bilardy najnowszej konstrukcyi, obok sale do różnych gier, bardzo ładnie i wygodnie urządzone.

Sala barowa, urządzona pięknie w modnym stylu angielskim, konkurować może skutecznie ze słynnymi podobnemi zakładami zagranicznymi. Bufet i boazerya mahoniowa, wypełniona piękną materyą, przetykaną złotem, zlewają się w harmonijną całość z olbrzymiemi taflami szybowemi od frontu i witrażowemi od dziedzińca. Wzorowo pod względem hygieny wykonane są wszystkie lokale gospodarcze.

Właścicielem kawiarni i baru jest pan Woźniak. Doświadczenie właściciela i fachowe jego wyszkolenie dają najlepszą rekojmię, że będzie to pierwszorzędny zakład nie tylko pod względem zewnętrznego wyposażenia, ale także i gastronomicznym.



Wielka sala kawiarni.

Ze świata kobiecego.

Czy dzisiejsza moda ma swój styl?

„Jaki styl przedstawia dzisiejsza moda?" zapytują tu i owdzie ludzie, lubiący uogólniać kwestye.



Suknia strojna. Z lila liberty, dolna tiunika obszyta aksamitem koloru *assomption* (lila czerwony), pokryta tiuniką złota, haftowaną jedwabiami iliowymi od najbledszego do najsilniejszego assomption i złotemi palietkami.

„Nie ma stylu! nie ma charakteru! co sezon kompletna zmiana!" wołają pesymiści, lubiący znajdować dziury w całem. „Mody wszystkich epok były piękne, a obecna ohydna!" dodają hipohondrycy. Za pozwoleniem! Przedewszystkiem każda epoka w dziedzinie mody ma swój charakter dopiero, gdy rozpatruje się ją przez pryzmat długiego szeregu lat, gdy drobne zmiany i waryanty każdego sezonu staną się niedostrzegalnemi z oddalenia, a pozostanie pewien ogólny szkielet, stanowiący typ danego okresu. I tak bywało po wszystkie wieki. Gdy przychodzi nam na myśl kobieta z czasów Ludwika XVI. lub Cesarstwa, widzimy ją jako Maryę Antoninę lub Madame Elisabeth, jako Józefinę, lub panią Recamier, zależnie od tego, której i jaki portret częściej wpadał nam w oczy i zdaje nam się, że wszystkie kobiety wówczas tak się ubierały. Tymczasem wystarczy przeczytanie jednego z licznych pamiętników kobiecych z tych epok, aby przekonać się, jak zmieniano modę w jej szczegółach, jak kształt rękawów, przybranie sukien, materyały i wyszycia mocno się różniły i jaką do tych różnic przywiązywano wagę. Przytem żadna moda nie była absolutnie oryginalną. Po za matką Ewą, której upłót liści figowych był zupełnie indywidualnym pomysłem i ową pierwszą wygnanką naszej smutnej krainy, któ a zaskoczona chłodem, zarzuciła na swe barki krwawą może jeszcze i cuchnącą skórę zwierzącą, każda moda wzorowała się na jakiejś poprzedniej: Rzymianka upinała szatę na sposób grecki, Greczynka naśladowała Egipcyankę, egipcyanka — córę Izraela, a każda usilnie starała się jakąś zmianą, jakąś ozdobą, jakąś stylizacyą zatrzeć ślady pierwowzoru, wmówić w innych i w siebie, iż jest indywidualną.

My obecnie przynajmniej szczersi jesteśmy. Przyznajemy szczerze i otwarcie, że od początku XX. stulecia w dziedzinie mody zawarliśmy kompromis między epoką Ludwika XIV. a Dyrektoryatem, od czasu do czasu dorzucając szczegóły z okresu Restauracyi. Tak jest przynajmniej z fasonami sukien, okryć, kapeluszy i obuwia. Co się zaś tyczy barw zbliżamy się coraz więcej do najświetniejszych czasów Renesansu; bogactwo kolorów, deseni, złotogłowów i najpyszniejszych haftów doprawdy olśniewa. Dzisiejsza moda łączy wszystkie barwy, pozwala na noszenie najbardziej krzyczących tonów, które dawniej raziły nas nawet w obrazach Matejki. Zielony — koloru strzyżonego trawnika w maju, świeżo zlanego wodą, czerwono-ceglasty, fiolety jakiegoś średniowiecznego prymasa, czerwoności kata, gotowego do wejścia na szafot — oto dzisiejsza moda. A jednak wyroby, w tych nieznośnych barwach, są tak tkane, tak upięte i tak przybrane, że może je nosić każda młoda kobieta, a że dzisiaj starych podobno niema... zatem barwność na całej linii, we wszystkich stanach i we wszystkich odcieniach! Suknia, jaką niedawno widziałam, zrobiona z jedwabiu ceglastego na zielonym, byłaby nieznośna dla oka, gdyby uszyto ją ze sztywnego brokatu lub aksamitu liońskiego, że zaś ta, którą widziałam była z przezroczystej tkaniny — dwie przeciwne sobie barwy zlewały się na ton szczególny zieleni o zachodzie słońca — że przybrana była haftem, bogato przetykanym srebrem, który osłabiał błyskotliwość samej sukni, że tiunika układała się w miękkie fałdy i spływała kaskadą srebrnej frendzli, całość była prześliczna i bynajmniej nie krzykliwa.

Lekkie tkaniny tak polubiła dzisiejsza moda, że nietylko stroje wieczorowe, ale codzienne suknie i bluzki pozostają latem lekkie, o krótkich rękawach i wyciętej szyjce. Dlatego jednocześnie z tem okrycia są długie i niezmiernie ciepłe; dlatego paryżanka, jadąc na wizyty, lub do teatru, otula się jak mieszkanka krajów podbiegunowych w futro od stóp do głowy, dlatego chroni drobne rączki w mufkę olbrzymią, w której może zanurzyć je po łokieć. Główki soboli, tumaków, oposów i lisów, które jako ozdobę pozostawiają na etolach i mufkach, nadają rzeczywiście coś pierwotnego tej kobiecie, która pozostawiwszy w westibulu futra w rękach służącego, okaże się w szatach lekkich i przejrzystych, w kształtach pudrowana markiza, czy wysmukła dama Napoleońskiego dworu, w barwach *dogaresa*, czy *chatelain'a*, w całości tylko kobieta z początków XX. stulecia: wykwintna, ponętna, zwycięska!

Moda dzisiejsza jest więc niesłusznie oskarżaną o brak „stylowości". Czerpie ona wzory z najrozmaitszych stylów, sięgając nawet do epok najdawniejszych... Że nie wszystkiem się podoba — to nie jej wina. Ma zresztą tylu fanatycznych przeciwników (naturalnie wśród zmateryalizowanego rodzaju męskiego), że nie zawsze spotyka się z sądem sprawiedliwym. *Ramo...*



Płaszcz wieczorowy. Z brokatu bronzowego ze złotem i wiśniowem, przybrany pasami z soboli, podbity gronostajami.

GASTON LEROUX.

BALAOO

10)

Ach! na szczęście jest dach — dach słomiany, który tu, gdzie stał Patryk, dochodził aż do ziemi. Patryk wdrapał się nań i rozpłaszczył się, przytulony do komina. Leżąc tak, nie mógł się powstrzymać — pomimo niebezpieczeństwa — od myśli, że dachy zaczynają grać ważną rolę w jego spokojnem życiu. Ale nie miał czasu na oddawanie się swym myślom. Usłyszał głos Eliasza i odpowiadający mu jakiś głos inny. Jak się tego obawiał — bracia okrążyli dom. Widział ich jak rozglądali się dokoła. Na szczęście, noc była bardzo ciemna.

Zoe krzyczała.

— Dajcie pokój, on już poszedł! To głupstwo, jutro opowiem mu cokolwiek!

Nagle, pod sobą, Patryk usłyszał ochrypły głos starej:

— Wracajcie, będzie go można zawsze odnaleźć!

Bracia, rzuciwszy ostatni raz okiem wokoło, zawrócili, zamykając drzwi za sobą. Kwadrat światła na drodze znikł.

Patryk chciał już schodzić z dachu, gdy nagle usłyszał wyraźnie ochrypły głos, który mówił:

— Ale, wreszcie, Zoe, poco on biegł za tobą?

Zoe odpowiedziała:

— Myślę, że chciał coś zobaczyć, inaczej, nie żądałby odemnie skarpetki!

— Pokaż mi ją! — rozkazał ochrypły głos.

Zdziwiony, że słyszy tak wyraźnie rozmowę, prowadzoną w chałupie, podczas gdy drzwi były zamknięte. Patryk począł badać pokrycie dachu, dokoła miejsca, gdzie siedział. Promień światła przenikał przez słomę koło jego łokcia. Była tam szpara w dachu powstała przez gnicie słomy. Ostrożnie rozsunął źdźbła starej, zwiotczałej słomy i mógł nie tylko słyszeć, ale i widzieć.

Chałupa nie miała sufitu, była to wielka izba, przedzielona przepierzeniem na dwie części. Za przepierzeniem znajdował się zapewne pokój trzech braci.

Patryk widział wspólną izbę z kominem i alkową, w której mieściła się sparaliżowana stara matka Vautrinów. Siennik w rogu izby był zapewne posłaniem Zoe.

Koło ścian stał duży stół, stołki i olbrzymi kredens; na kominie rząd talerzy fajansowych, malowanych; na ścianach wisiały strzelby i torby myśliwskie.

Podłogę zastępowała ubita gładko ziemia.

ROZDZIAŁ IX.

To nie złotogłów — to ryba.

Patryk poznał dwóch albinosów, siedzący h przy stole. Każdy miał w ręku kawał chleba z mięsem — stół zastawiony był naczyniami i butelkami. Chociaż już było późno, bracia nie zaczynali na dobre wieczerzy, oczekując na Huberta. Swieca, stojąca na stole, słabo świetlała izbę, ale ognisko na kominie rzucało światło w stronę alkowy, z której wychylała się potworna twarz starej matki. Trudno było znieść spojrzenie tej starej wiedźmy — wszyscy we wsi unikali go i nawet Hubert chylił przed niem głowę! Twarz starej, cała pokryta zmarszczkami i guzami, była w ciągłym ruchu. W strasznych ustach sterczał jeden jedyny ząb. Głowa starej pokryta była białymi, twardymi włosami, wciąż, pomimo ustawicznego odrzucania, spadającymi na oczy.

Kręciła się na swem legowisku, którego nigdy nie opuszczała. Jedynie nogi miała sparaliżowane. Zawsze przy sobie miała kij, którym rzucała w swe potomstwo. I synowie pokornie przynosili go. Zoe nie lubiła jej, gdyż na niej najczęściej skrupiała się złość starej; ale Hubert i albinosi szanowali matkę, gdyż opowiadała im o galerach, na których był ich ojciec — a tych opowiadań nigdy nie mieli dosyć. Patryk, przyłożywszy oko do szpary, ujrzał natychmiast starą, nachyloną nad skarpetką, którą podawała jej Zoe. Głowy matki i córki pochyliły się ku sobie i przez chwilę panowało milczenie, podczas którego albinosi, obserwujący ostrożnie to, co się działo w alkowie — zaprzestali jedzenia. Wreszcie Zoe zapytała, czy ma przysunąć świecę, ale stara odrzekła, że nie potrzeba. Wówczas Zoe odsunęła się, a stara poczęła śmiać się szyderczo w taki sposób, że Patryk w swej kryjówce zdrętwiał. Albinosi również zaczęli się śmiać drwiąco. Tylko Zoe milczała, odebrała skarpetkę i schowała ją do kieszeni.

Stara zapiszczała:

— To nie złotogłów — to ryba!

Patryk łamał sobie głowę nad znaczeniem tego zdania, któremu towarzyszyło zniknięcie zacerowanej skarpetki w kieszeni Zoe, gdy drzwi otworzyły i wszedł Hubert. Kapelusz miał wciśnięty na oczy, wielką laskę w ręku i wydawał się bardzo zmęczony. Uorany był w bluzę sięgającą mu do kolan. Zamknąwszy drzwi silnem kopnięciem nogi, stanął na środku izby bez ruchu.

— Dzień dobry, matko! — rzekł. — A wy — zwrócił się do braci — chodźcie mnie zrewidować!

Albinosi byli już przy nim i wsunęli swe olbrzymie łapy pod bluzę. Wyjęli stamtąd paczki tytoniu, znalezione za pasem. Hubert tłómaczył;

— Ten rezultat wizyty u matki Soupe. Pomagałem jej liczyć towary. Jak widzicie, opłaciło się...

Mówił to, nie ruszając się, z ramionami opuszczonemi wzdłuż ciała.

— Wyżej! — rozkazał braciom, którzy wciąż przeszukiwali jego bluzę.

Eliasz i Szymon posłusznie sięgnęli pod pachy i wyciągnęli stamtąd dwie butelki białego wina, które natychmiast odkorkowali, starając się poznać po zapachu gatunek. Zakorkowali flaszki, mlaskając językiem, jak znawcy.

Matka poruszyła się gwałtownie na swem legowisku.

— Skąd to masz? — zapytała z błyszczącemi oczyma.

— Musi być niezłe — odparł Hubert — Spotkałem inspektora z akcyzy, a on się na tem zna.

— I pokazałeś mu swą zdobycz? — zapytała stara zdziwiona.

— Bo! To on mi pokazał swoją. Spotkałem go na ulicy Zielonej. Szedł wzdłuż muru, nie pytając nikogo o drogę. Wiesz, jak on chodzi, gdy wraca wieczorem do domu, nie wymachuje nigdy rękami — jak gdyby były drewniane. Podszedłem więc do niego, przywitałem się grzecznie i uścisnąłem mu dłoń z uczuciem. Uważał widocznie, że ściskam za mocno, gdyż rzekł: „O, nie tak mocno!" Wówczas włożyłem mu rękę pod pachę! Do dyabła! Trzymał tam butelkę, pod drugą pachą to samo! Mówię mu tedy: „O, panie inspektorze, to nie ładnie! To tak pan spełnia swe obowiązki? Więc dwie butelki białego wystarczają, żeby pana przekupić! Nigdy nie przypuszczałem tego. Będę musiał pomówić o tem z naszym posłem!" Oddał mi obie butelki i obiecał co miesiąca dostarczyć takich samych, jeżeli będę trzymał język za zębami. No, dzieci, teraz do kolacyi!

Rzucił dal ko od siebie kapelusz. Patryk mógł teraz przyjrzeć się dobrze tej strasznej rudej głowie o zielonych oczach, które śniły się często wielu mieszkańcom wsi.

Hubert przysunął nogą stołek, zasiadł na nim i zabrał się do jedzenia. Zoe usługiwała. Jedząc — gadał:

— Tak, ale to wszystko głupstwo! Nie warte niucha tabaki: Mam na oku coś innego, co nam będzie lepiej smakowało! Opowiem wam. Coś, co mi się podoba! Zobaczymy, zresztą. No, a ty, jak się miewasz, kurczaku? — zwrócił się łagodnie do siostry, uderzając ją potężnie po plecach. — Piszczysz? Nie lubisz tego? Pytam, jak twoje zdrowie?

— Po co ją bijesz? — zapytała stara.

— Ona ci powie sama. Znowu ją widziałem z Balaoo, dziś popołudniu w lesie.

— Ona jest niewinna — rzekła matka — a Balaoo muchy nie skrzywdzi.

— Bardzo możliwe! Ale moja siostra powinna mieć dobrą reputacyę, żeby później nie miała trudności z wyjściem za mąż!

— Co do tego, masz racyę, ale powtarzam, że ona jest niewinna. Pokaż skarpetkę Hubertowi, Zoe — szepleniła stara z swej nory.

Mała wyjęła żądany przedmiot i Patryk widział, jak Hubert pochylił się, oglądając, badając wełnę i wywracając skarpetkę. Wreszcie oddał ją siostrze, która schowała ją do kieszeni. Hubert rzekł:

— Przecie to nie złotogłów, to ryba!

I wszyscy znowu zaczęli się śmiać.

— Na szczęście nie liczy się na to, co ona przyniesie — rzekł Hubert, wychylając duszkiem szklankę wina. — Ale nie zajmuj się takiemi rzeczami, kurczaku. Pilnuj lepiej swojej cnoty, żeby można cię było zaprowadzić do notaryusza — no i do kościoła... Panowie! — rzekł uroczyście, kładąc pięście na stole — zawiadomiłem was, że jest do zrobienia dobry interes. Kto chce o tem mówić?

— Wiesz dobrze, że albinosi nie lubią gadać — rzekła stara — ale pójdą za tobą wszędzie, jak wierne psy. Więc mów, mój mały!

Hubert zwrócił się do siostry:

— Idź do lasu i licz tam do stu! Zrobisz mi tem wielką przyjemność!

Zoe, wystraszona, nie dała sobie powtórzyć rozkazu. Otworzyła drzwi i wypadła z izby. Patryk chciał już biedz za nią i dziękował niebu za tak dobrą sposobność odzyskania skarpetki, gdy zauważył, wyciągnąwszy szyję, że mała nie odeszła od chałupy, ale przeciwnie, pozostała przy drzwiach, nadsłuchując. Pozostał więc na swym posterunku — i zaciekawiony ostatniemi słowami Huberta — na nowo zaczął obserwować i słuchać... Hubert przeciągnął się, jak zwierzę, wyciągnął pięści w górę, potem oparł brodę na pięściach.

— Dwieście tysięcy! — rzekł.

Albinosi wyprostowali się, a stara poruszyła się gwałtownie na swem legowisku.

— Tak — ciągnął Hubert — nie zważając na wrażenie, jakie wywołał, tak, ale to może pachnąć krwią!

— Szkoda! — zaszepleniła stara. — Zdaje mi się, że dosyć już było krwi w ostatnich czasach. Wasz ojciec nieboszczyk mówił mi jeszcze na łożu śmierci: „Wystrzegaj się krwi!"

— Wiem, o czem chcesz mówić, matko, ale źle się wyrażasz... Camus, Lombard i Blondel — to zupełnie inna sprawa — byli zaduszeni i powieszeni przez kogoś, kto potrafi to zrobić... oświadczył Hubert. Swoją drogą uważam, że to było niepotrzebne. Ludzie się mało jakieś dyskusye polityczne, to nie dowód, żeby cieszyć się ze śmierci ludzi. Inaczej, trzeba by było wszystkich wymordować.

— Ostatecznie, Hubercie, ja się ciebie o twoje sprawy nie dopytuję, ale pomyśl o tem, że ja bez was nie mogłabym żyć... Moglibyście być panami miasta, gdybyście chcieli... Wiadomo, jak się do tego zabrać. Ale odgrażając się Blondelowi przy pełnej kawiarni, w wigilię jego śmierci, nie zapewnia się spokoju starej matce!

Hubert spojrzał z podełba na swych braci, którzy patrzyli nań podobnie.

Ja się tego nie dotykałem, ale może to i dobrze, że znaleźli się ludzie, którzy zemścili się za kłótnie rodzinne. W każdym razie to było doskonale zro-

bione. Sędzia zobaczył tylko skutki. I wreszcie „kroki na suficie!“ — to było takie śmieszne!

— Nie widzę tu nic śmiesznego, Hubercie. Twój ojciec nieboszczyk mówił, że gdyby przez całe życie był poważnym i porządnym, to nie poznałby galer!

— Dosyć o tem, matko! Jesteś głupia, jak stołowe nogi. Gdybym ciebie słuchał, skończyłbym na szafocie. Nie lubię niepotrzebnej gadaniny. Widzisz, że albinosi siedzą cicho.

Rzeczywiście Szymon i Eliasz milczeli. Przyglądali się tylko bratu z jakąś posępną ciekawością i od czasu do czasu rzucali na siebie szybkie spojrzenia, które mogłyby dać do myślenia temu, ktoby je pochwycił. Trzej bracia zdawali się nawzajem podejrzywać o te zbrodnie, lub raczej każdy z nich chciał, żeby dwaj inni wierzyli, że ich podejrzywa o to, co może sam popełnił. Co do albinosów, zawsze milczących i ponurych, to Hubert oddawna zrezygnował, żeby można było zmusić ich do mówienia. Sam również o sobie nic nie mówił. Było to stowarzyszenie naturalne i nierozerwalne i były przygody wspólne, które ich łączyły aż do śmierci, ale nie przeszkadzało, że każdy z nich miał swe osobiste sprawy, do których „Towarzystwo trzech braci“ nie wtrącało się...

Dziwne zbrodnie ostatnich czasów były przedmiotem niejednej rozmowy i niejednego milczenia w chałupie, nic więc dziwnego, że wzmianka o tych niezwykłych wypadkach odwróciła na chwilę ich uwagę od tematu, chociażby tak interesującego, jak ten, który poruszył Hubert.

Matka pierwsza powróciła do tego, podczas gdy trzej bracia, zatopieni w myślach, milcząc, wychylali szklanki. Hubert teraz zdawał się wahać.

— Jest w tem duże ryzyko, ale kto nie ryzykuje, ten nic nie ma...

— W każdym razie opowiedz.

— Więc słuchajcie... Byłem u matki Soupe i pomagałem jej liczyć transport tytoniu.

— Czy prosiła cię o to? — zapytała stara.

— Żartujesz! Ale ona jest zanadto grzeczna, żeby odrzucić usługi Vautrina.

— Matko, jeżeli nie przestaniesz gadać, to nigdy niczego się nie dowiemy — wtrącił Szymon.

— Byliśmy w sklepie, gdy przyszedł Tyka a za nim jakiś mały chudzielec, którego nie znam. Zrozumiałem z ich gadaniny, że mały jest urzędnikiem przy robotach, które się teraz prowadzą z tamtej strony Montancel, wiecie, gdzie kopią tunel. Wiecie, tam jeszcze niema kolei! I właśnie ją budują. A przy tej budowie pracuje pięciuset robotników! Uważacie? Pięciuset robotników, którym trzeba płacić gotowymi pieniądzmi. Powiedzcie, ile to wypadnie, jeżeli liczyć po 6 albo 7 franków dziennie? Gdyby się płaciło po dziesięć franków, to miesięcznie wypadnie 150 000 franków. Więc przedsiębiorca musi mieć w końcu miesiąca 200.000 franków.

— Ich tam jest więcej, niż pięciuset...

— Bo pracują jeszcze w innych miejscach. Mały, który był z Tyką, skarżył się, że byli daleko od ludzi i że niema tu żadnych środków komunikacyi...

— Ależ przecież przed dziesięciu laty mieli tam zacząć roboty.

— Tak, ale dopiero od dwóch miesięcy tam pracują. I każdego miesiąca... rozumiecie? Słyszysz, matko? Każdego miesiąca trzeba płacić robotnikom. Na to trzeba pieniędzy, a gdzie są pieniądze? W bankach!

— Więc chcesz obrabować bank w Clermont? — zapytała stara, wychylając się z alkowy.

— Co ty wygadujesz, matko. Czasem zupełnie tracisz głowę. Zostaw bank w spokoju; trzeba, żeby pieniądze wyszły z banku; nie w banku przecież będą płacić robotnikom. Za drogo kosztowałby ich przewóz.

— Więc dowiedziałeś się, jaką drogą będą wieźli pieniądze?

— Oj, jakaś ty ciekawa!

— A jak dowiedziałeś się tego?

— Poszedłem za Tyką i tym drugim, tak, że o tem nie wiedzieli. Zaszli na szklankę wina do Mateusza. Mały miał już w czubie. Ciągle gadał tylko o robotach, a potem o wszystkiem. Słuchałem ich, siedząc w kącie, tak, że mnie nie widzieli... Teraz wiem, którędy będą wieźli pieniądze — zakończył Hubert, zniżając głos...

Matka i dwaj bracia rzekli krótko: A!...

Stara nie mogła już wytrzymać, dała znak Hubertowi, żeby się zbliżył do jej legowiska, dwaj inni podeszli również. I wszyscy, usta przy ustach, poczęli szeptać; nie trwało to długo, ale Patryk nie mógł usłyszeć ani słowa.

Kiedy tajemna narada skończyła się, Szymon wyprostował się i zapytał:

— I co o tem powiedział Tyka?

— O! Tyka nie miał miny zachwyconej. Zdaje mi się, że się dobrze wywiązał z polecenia. Mały spał na ławce. Tyka rzekł mu. „Teraz chodź spać! Jesteś pijany. Jutro rano będziesz zadowolony, że mówiłeś do uczciwych ludzi“.

— Dał się nabrać ten Tyka — wtrącił Eliasz.

Wrócili wszyscy trzej do stołu i przez chwilę panowała głęboka cisza. Głowa starej skryła się w cieniu, nie było jej widać. Wszyscy rozmyślali.

— No i kto co powie? — rzucił Hubert. — Słucham.

I spojrzał dokoła swemi zielonemi oczyma.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył S. N. Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z górv na dół, utworzą nam pseudonim jednego z pisarzy polskich XVI. wieku.

— gat
— aro
— ies
— osa
— rka
— aba
teb —
kro —
vic —
saa —
gdv —
żłó —
ran —
— ora
— óża
— men
— art
— mir
— asa

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. Piekło, Podgórze.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby utworzyły pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

a	c	e	e	e
e	e	e	h	k
l	l	m	m	n
n	o	o	o	o
p	r	r	t	t

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta grecki. 2 Miasto na Śląsku pruskim. 3. Dawne wyrażenie zamiast silny. 4. Inaczej wybrany. 5. Zaopatrzenie na starość lub na wypadek niezdolności do pracy.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Kraków.

Drugie zaimek, *trzecie* czasu kawał,
Całość znów niesie żmudnej pracy nawał,
Niesie marzenia, nigdy nie ziszczone
Krzywdy wspomnienia i żale tłumione,
Gdy jednak w blasku zorzy zajaśnieje
Drzemiące w smutku obudzi nadzieje.

Zagadka przysłowiowa.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! upiec kasztany, okońki!

Łamigłówka.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy. Końcowe ich litery utworzą nazwiska dwu rywalizujących ze sobą ludzi i przedmiot ich zapasów.

ma —
gn —
to —
tw —
la —
le —
mu —
tł —
ko —
ac —
ba —
da —
kr —
ce —
iw —
ni —
źl —
ba —

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył W. Kawecki, Włocławek.

Z podanych liter ułożyć znane mazurskie przysłowie (w mazurskiej gwarze):

Scena, żyd, święto, pan, pensy, ko.

Łamigłówka i przestawianka.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Podane wyrazy tak uzupełnić i poprzestawiać aby pierwszy i ostatni rząd, czytany z góry na dół w zygzak, utworzyły nazwisko polskiej powieściopisarki i tytuł jej utworu.

— cman —
— asta —
— lucz —
— bron —
— eniw —
— ojaz —
— anin —
— amał —

REBUS.



Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Władysława Bełzy:* **Z Weneevi do Neapolu.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.